BIBLIOTEKA WYŻSZEJ SZKOŁY EKONOMICZNEJ W GDAŃSKU
Gen. Polit.

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena zł 1.20

W NUMERZE

S. PIOTROWSKI — O pełny udział w walce; A. DASZEWSKA — Na Ziemi Lubuskiej;
A. ROLLAND — „Pomyłka" króla Sobieskiego; G BIDWELL — Portret walczącego narodu;
H. WORCELL — W „Republice Dziewanowskiej"; A. JAWICZ — GS-y, ludzie i sztuka;
R. PSZCZÓŁKOWSKI — Film o „Pamiątce z Celulozy";
T. ŚLIWIŃSKI — Miasteczko, którezobaczyło świt; B. CIRLIĆ — Poeta bułgarskiego proletariatu;
S. KISIECKI — „Górnicy" Iwana Martinowa.

Wieś

typodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 21 czerwca 1953 r.

Nr 25 (411)

MARIA KAMIŃSKA

BÓJ O NOWEGO CZŁOWIEKA

Mówiliśmy o naszych osiągnięciach i zdobyczach. Wracając w teren trzeba jednak pamiętać nie tylko o święcie, któreśmy tu wspólnie przeżyli, ale widzieć również c i ę ż k ą w a l k ę, którą przecież prowadzimy wszyscy i wy, przodownicy czytelnictwa i wy, kierownicy punktów bibliotecznych, i wy, bibliotekarze gminni czy powiatowi i wy nauczyciele szkół, cztero- czy siedmioklasowych. Pięknie ją w dyskusji podkreślił kol. Edmund Klasa, młody chłopak ze Szklanej Huty w woj. gdańskim, kiedy mówił, jak to trudno było skłonić wieś, w której mieszka, żeby czytała, jak to on chodził od mieszkania do mieszkania dając książki starszym i jak pytał synów, co twój ojciec robił wieczorem; jak przekonywał się, że jednak ten ojciec do ciekawej książki sięgnął. Jego starania powinny nam oświetlić trudności, z jakimi walczymy i dłuższy jeszcze czas na naszej wsi walczyć będziemy. Bo wiele jest jeszcze przesądów, które hamują czytelnictwo i rozwój kultury bo wiele jeszcze jest ciemnoty, którą musimy przełamywać, bo przeszkadza nam w naszej pracy kulturalno - oświatowej kułak — o czym w naszej dyskusji za mało mówiliśmy, bo przeszkadza nam w pracy kulturalno-oświatowej tu czy ówdzie zacofany kler — o czym również za mało mówiliśmy.

Jeden z mówców, kol. Julian Rybczak, nazwał nas s z t a b e m k u l t u r a l n y m. Rzeczywiście, musimy się czuć j a k s z t a b i musimy się czuć j a k ż o ł n i e r z e w a l k i o k u l t u r ę. Nie darmo mówimy o froncie kulturalnym w naszym kraju, nie darmo mówimy o rewolucji kulturalnej w naszym kraju. A kto mówi front, ten mówi trudności. Kto mówi trudności, ten musi nauczyć się je zwalczać i zdobyć w sobie siłę do walki z tymi trudnościami: z ciemnotą, z zacofaniem, z przesądami i z kułacką wrogą agitacją (oklaski) i z wrogą agitacją anglo-amerykańskiego imperializmu, nosicielami takich czy innych BBC, plotek, bzdur, które jeszcze ciągle usiłują siać nasi wrogowie na polskiej wsi (oklaski).

Walka o kulturę, Koledzy i Towarzysze, to część składowa naszej walki klasowej o lepsze jutro wsi, o wyzwolenie naszej wsi ostateczne i całkowite z ciemnoty, z jarzma i wyzysku kułackiego, walka o prawdziwie wolną, socjalistyczną wieś. Wczoraj nasz góral kol. Jan Haniczyk z powiatu Nowy Targ z głębokim wzruszeniem mówił o tym, jak to on „troszkę" Warszawę obejrzał przed naszym zlotem i jak on teraz będzie się starał o to, żeby ich koło miczurinowskie, żeby ich poletka doświadczalne ogarnęły nie tylko ich teren, ale żeby się rozszerzyły i żeby to zboże, które zaczyna wykazywać jak najlepszy stan, plonowało dla klasy robotniczej, dla naszej kochanej stolicy. W tych pełnych wzruszenia słowach tkwi głęboka prawda, o której wielu z Was, Koledzy, mówiło, ale może nie dość jasno politycznie stawiając zagadnienie. My, przodownicy czytelnictwa, bojownicy kultury, musimy w naszej akcji kulturalnej, w naszej pracy kulturalnej umacniać podwaliny Polski Ludowej, u m a c n i a ć s o j u s z r o b o t n i c z o - c h ł o p s k i, z tym musimy wracać.

Sojusz robotniczo-chłopski, zatem więcej z hektara, zatem więcej mleka, a więc lepsza hodowla, ażeby prędzej, łatwiej, szybciej i taniej klasa robotnicza mogła wykonać wszystkie wielkie zadania Planu 6-letniego, ażeby syta była ludność miast, ażeby syty był młody chłop w szkole średniej, w bursie, na wyższej uczelni, jutrzejszy nasz specjalista, budujący socjalizm, żeby dowoli było wszystkiego. Czytać więc książki rolnicze, podnosić produkcję, hodowlę i w ten sposób walczyć o umocnienie i utrwalenie sojuszu robotniczo-chłopskiego. Samokrytycznie powiedzmy sobie jednak że w tym etapie konkursu czytelniczego książek rolniczych czytaliśmy wszyscy razem za mało. To jedno. A drugie. Czy każdy przodownik czytelnictwa przoduje w odstawach dla państwa? Przecież niestety, nie zawsze ta gromada, która przoduje w czytelnictwie, która ma kilkuset czytelników, która jest objęta kręgiem kulturalnej rozrywki i kulturalnej pracy, czuje się już współodpowiedzialna za wszystko, co się w Polsce Ludowej dzieje, czuje się współtwórcą tego wielkiego budownictwa w naszym kraju.

Oto gromada Użejowice, której świetlica rzuciła nam wezwanie do współzawodnictwa w całym kraju, ale w odstawach pochwalić się Użejowice nie miały czym.

Książka musi nas nauczyć, musi w n a s wzmocnić to poczucie, że j e s t e ś m y współgospodarzami, współtwórcami tego, co się dzieje w naszym kraju. I z tym, wydaje mi się, poczuciem w z m o ż e n i a o d p o w i e d z i a l n o ś c i z a n a s z k r a j, za budownictwo pokojowe, za rozwój naszej ojczyzny, za budownictwo socjalizmu, trzeba z naszego zlotu wyjechać. Kol. Dzierża z Poznańskiego, dawny fornal, który 40 lat czuł na swoich barkach jaśniepańskie jarzmo, w piękny sposób mówił, jak on agitował za czytelnictwem i jak on, stary człowiek, agitował za spółdzielnią produkcyjną i zaagitował te spółdzielnię. Młody junak z brygady SP, kol. Belniak opowiadał nam, jak to jemu książka Ścibora-Rylskiego „Węgiel" dopomogła do tego, żeby jego brygada wysunęła się na czołowe miejsce w wykonywaniu Planu 6-letniego w trudnej walce o węgiel.

✣

Nie jest to przypadek, Towarzysze i Koledzy, że tylu spośród przemawiających podkreślało znaczenie i rolę, jaką odgrywa książka radziecka w ich życiu i w życiu gromad. Książki radzieckie pokazują nam piękne ludzi. Książki radzieckie

pokazują nam gorących patriotów, bohaterów, ludzi takich jak my, ale którzy w codziennym trudzie stali się zdolni do wielkiego wysiłku dla ojczyzny, dla społeczeństwa, dla ogółu. Książki radzieckie, powiedziałbym, pokazują nam ludzi takich, j a k i m i p r a g n ę l i b y ś m y b y ć m y w s z y s c y. Chcę zaapelować szczególnie do kobiet, szczególnie do matek, których jest wiele tutaj zgromadzonych: uczcie wasze dzieci, uczcie młode dorastające pokolenie na radzieckich książkach. Uczcie, jak człowiek wyzbywa się egoizmu, jak staje się wolny od pychy, jak staje się gotowy do poświęceń, do bohaterstwa, jak staje się człowiekiem, przenikniętym nową, socjalistyczną moralnością. Uczcie ich tego, nasze polskie matki, na pięknych książkach, na pięknej, nowej, najbardziej postępowej, torującej drogę ludzkości, radzieckiej literaturze.

Chciałbym się powołać na piękne przemówienie kol. Wacława Osaka z pow. buskiego, który opowiadał, jak to jemu powieść radziecka dopomogła w spółdzielni produkcyjnej do nowego ustosunkowania się do człowieka, jak to on kiedyś trochę komenderował, trochę krzyczał na ludzi, tracił cierpliwość i jak potem po przeczytaniu jednej, drugiej, trzeciej książki, powiedział: „Trzeba inaczej, trzeba po koleżeńsku, trzeba spokojnie, trzeba przekonywać". I jak się okazało, ci chłopi indywidualni, którzy przedtem słuchać go nie chcieli, teraz słuchają, ci członkowie spółdzielni, którzy się nieraz na niego obrażali, teraz mówią: „Zmieniło się w naszej spółdzielni, są jakieś przyjemne, koleżeńskie stosunki".

Tu już książka sięgnęła bardzo głęboko, tu już książka przerabia dusze nasze, przerabia nas całych na nowych ludzi, godnych epoki socjalizmu.

Jeżeli nam koleżanka z Siedlisk wczoraj opowiadała, że ona nigdy w życiu nie zapomni książki „Bohaterki zaplecza" i jak to cała grupa, szkoląca się w Siedliskach, przeprowadzała długotrwałe dyskusje i brała sobie za wzór tę czy inną z dziewcząt występujących w tej książce, to myślę, Koledzy, że każdy z nas ma lub znajdzie swoją książkę, którą tak głęboko przeżyje. I o to nam chodzi. Z tym trzeba z nowego Zlotu wyjechać. Książka musi stać się przeżyciem, które kieruje nas ku przyszłości, kieruje nas ku lepszemu, nowemu życiu i zmienia nas na nowych ludzi.

Najpiękniej mówiła o tym kol. Tomaszewska, siwa kobieta z pow. inowrocławskiego, która nam powiedziała: „Nie dziwcie się, że ja się z tej mównicy do was zwrócę przez „kochani", ja, która tyle wycierpiałam, ja, która byłam bita i poniewierana przez obszarnika, ja dziś do moich kolegów na sali i do ludzi pracy w całej Polsce mogę powiedzieć — „k o c h a n i".

✣

My, wychowując nowych ludzi i sami stając się nowymi ludźmi, chcemy, żeby to nasze społeczeństwo, budujące socjalizm, stało się społeczeństwem opartym o nową moralność, o nową etykę, gdzie naprawdę bez obłudy i fałszu kochać będziemy bliźniego jak siebie samego, gdzie naprawdę bliźniemu — sąsiadowi, każdy z nas będzie starał się dopomóc, każdy z nas będzie starał się, żeby sąsiad, kolega nie cierpiał biedy, nie miał trudności, żeby go wyciągnąć i podciągnąć, żeby we współzawodnictwie kiedy ja jestem pierwsza, on zaraz obok mnie pierwszy. To jest nowa moralność płynąca z książek, które coraz częściej dostają czytelnicy do rąk.

Precz z egoizmem — precz z pychą, precz z chciwością, której jeszcze tyle w masach chłopskich i której ciągle podporą jest kułak, który chce uczyć spekulacji i który chce uczyć niewykonywania obowiązków. A my temu przeciwstawiamy naszą nową rosnącą w nas wszystkich socjalistyczną moralność. Dlatego z tym trzeba przede wszystkim wrócić do swoich gromad, do swoich bibliotek, do swoich szkół, na front kulturalny. Bijemy się o nowego człowieka, o nową socjalistyczną moralność.

Maria Kamińska

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

ZAORANIE MIEDZ

Fragment z poematu „Jackowice"

Był ranek. Słońce lśniło na blaszanych łatach
Starych dachów folwarcznych i białego lata
Wiatr nitki postrzępione niósł, drobne i drżące
Jak dziecko, gdy latawcem bawi się na łące.
Przez niebo jak spłoszone owce gnały chmury.
W tym czasie pola tracą barwę, kształt, kontury;
Do pól upodobnione miedze, trawa wyschła,
Rzekłbyś, że jesień miedze chce ukryć w ściernisku
Przed oczami spółdzielców.

A ci właśnie stali
Na granicy pól chłopskich i działek fornali
Wkoło Króla. Pisałem, jak kołchozy zwiedzał
Wsiane w stepy Kubania, gdzie jedyna miedza.
To wzdłuż setki mil zboża — przeciągnięty kanał.
Jest ich dwudziestu czterech. Z przodu stoją młodzi,
W głębi, w ciemnej zapasce dójka Sebastiana,
Z boku Szkopiak, co z książką uczoną przychodzi
Do obory i różne nowości wprowadza,
Dalej średniak Olszewski. Ten z miejsca się zgadzał
Na spółdzielnię, gdy cytry wskazały treściwie,
Że postąpił rozsądnie, serce — sprawiedliwie.
Opodal mimo orki stanęli ciekawi:
Jakieś baby w spódnicach koloru żórawin
Z pobożnie splecionymi dłońmi i zastygłą
W oczach zgrozą. Spojrzenia wbijały jak szydło
W pola nowej spółdzielni. Młodsze z dziećmi w chustach.
Wśród nich Józka bogaczka i Margośka tłusta,
Obok Wiącek i Krzyziek. Pól wsi przyszło patrzyć,
Jak ci „otumanieńcy" będą jak w „tyjatrze,
Gdzie się różne głupoty dla śmiechu odgrywa",
Swe własne i z nadziału miedze zaorywać.

*

Źle, gdy ktoś w drogę idąc na progu się potknie
Wśród wrogów. Cóż, ze będzie szedł gracko po lesie,
Złe oczy to wypatrzą, zły język rozniesie,
Głupie dłonie doskoczą i piach sypną w oczy.
Jeśliś w sercu choć trochę słabości skrył, zboczysz.
Garstka naszych spółdzielców zdaje się nie słyszeć
Babskich pleciug i tylko przepocieszny Zdziszek
Szelmowskie perskie oko Wiąckowej posyła,
Co właśnie zza pazuchy różaniec dobyła
I modli się, by święty Faustyn zesłał piorun...
Już na chłopskim od świtu orano wzdłuż toru.
Trwał ów żmudny, powolny przemarsz przez zagony
Konia, sochy, człowieka zgiętego i wrony.
W górze chmury gęstniały. Ich mroczny koloryt
Był jak klątwa biblijna i wyraz pokory
Wobec siły przyrody i spadku stuleci...
Wnet traktory nadjadą. Wyjdziemy naprzeciw.
Spóźniają się, jak widać, lecz wnet wyjrzą z wioski
I po chwili nie dłuższej niż pacierz dziadowski
Staną tu. Pewnie jadą. Dobiegł przez zagony
Szczek psów, ostry, narwany i jakby zdumiony;
Tarza się wzdłuż oplotków, coraz bliżej dworu,
Głuszy pewnie miarowe stukanie motoru,
Nie ustaje... Nie... ustał i w ciszę się wplątał.
Od godziny trwa cisza i jest już dziewiąta.
Król stale swój zegarek jak puszkę z tytoniem
Otwiera i oczami, zda się, przestrzeń chłonie
Aż po zasięg widzenia, a i ten przekroczy
Słuchem... Cisza wkrąg zgrzyta. Zwilgotniały oczy
Boguśki. Spójrz!... Dziecinna łza kręci się w oku,
Choć uśmiechem i słowem chce zakryć niepokój...
Znają ciężar spóźnienia; wiedzą, ile waży
Ten czas w pracy zespołu łowickich murarzy
Na Placu Kościuszkowskim; ile w mieście Łodzi
Prządki przędzy urobią wzdłuż niewielu godzin.
Od godziny trwa cisza, a dzień ten stanowi
O powadze ich czynu w zagrodach Jackowic.
Nie dziwmy się, że owładł nawet i młodzieżą
Niepokój. Król i Szkopiak oczami się mierzą.
Po czym Szkopiak bez zwłoki na swój rower siądzie.
I zniknął w dali jak igła wbita w siną kądziel.

*

Na zegarku wskazówka ku cyfrze następnej
Podpełza. Ucichają pomruki niechętne —
Ów szmer wyzwisk, co prawie już w ucho nie wpada —
O „dzwonku ekonomskim", „bandziorach" i „dziadach".
Na ich miejsce przybiega i śmigać zaczyna
Po bruzdach jak mysz polna—zwinna, szybka drwina.
Podchodzą zewsząd ku nim, stają całkiem z bliska:
Dwie Wiąckówny w pilotkach „pańska piękność" —
Krystka,
Pomarszczone bigotki, podobne dziś wierzbom
Rechoczącym dziuplami, kiedy pnie rozrzeźbią
Rylcem czasu. A Wiącek swój czarny jak smoła
W tył zsunąwszy kapelusz z uśmiechem anioła,
Co w sobotnim kościele płynie na obloku,
Uradza najżyczliwiej, żeby dali spokój,
Bo nie w siłach, zawiedli się dzisiaj i nie dziw,
Tam jest nieład i słowa próżne, tu sąsiedzi
Dopomogą, a raźniej na swoim, w gromadzie.
Więcek zgodę pochwala, przeciwny jest zwadzie.
I oto Baran, fornal Guzek, dwóch średniaków
Patrzą w ziemię, jak gdyby szukali rzepaku
Na ściernisku, Jaskólski tak jakby okulał...
A wiem zabrzmiał nad miedzą basowy głos Króla:
(Król zwykle mówił cicho i jakby nieśmiało)
„Patrzcie, ludzie, wilczysko w skórę się odziało
Owczą, tylko mu ślepia świecą i pazury.
Przykuse są dla wilków widać owcze skóry.
Tym gadaniem, poczciwcze, nie omanisz wielu.
O takich przyjaciołach często w Z. S. L.-u
Mówimy. Franek Baran, jeśli tak zbaraniał,
Niech odejdzie. Nie chcemy próżnego biadania..
— Przerwał, bo raptem rower wyblysnął z oddali...
Przybył Szkopiak, przez chwilę na boku szeptali.
Rzekł znów Król, że traktorów nie ma do tej pory.
— Przyczynę Szkopiak zbadał. Był u nich. Traktory
Są potrzebne gdzieindziej, orzą w Wierzchowicach
Dla takich jak my chłopów, a nie dla dziedzica.
W tym mi rację przyznacie. Całkiem inna sprawa,
Że nie wolno POM-owi obietnicy dawać,
Że przyjdą, gdy nie przyszły i tak ludzi zwodzić.
Przeoczyli. Planowość nie na pniu się rodzi
I niemylność. Nie zaraz Łowicz zbudowano.
Wszak uczymy się wszyscy. Z Bedlna dzisiaj rano
Dzwoniono do sołtysa. Wyszedł. To się zdarza.
Czy to znaczy, że trzeba omyłkom pobłażać?
Wcale nie. O tym potem. Jutro lub pojutrze
Sprzęt nadejdzie. Nie traktor jest pierwszy, lecz
człowiek,
Co ma rozmach w ramionach i co się nie guzdrze
Na wspólnym, widzi jaśniej, no bo myśli zdrowiej.
Z czasem będzie nam lepiej. Zjadą tu kombajny,
Jakiem widział w chutorach Kraju Radzieckiego.
A dziś orkę jesienną końmi zaczynajmy.
Rosjanie nie od razu zaczęli z łatwego

*

Więc zaprzęgli do pługów siedemnaście koni —
Kantary przystroili kwiatem georginii —
Rozstawili w odstępach w wichrowatej linii
Na rżysku, a nim lemiesz w kamienie zadzwoni
Na granicy Olszewskich pola i dworskiego,
Przed tą chwilą, od której ruch lejców już dzieli,
Z powagą i w skupieniu mieląc czapki zdjęli.
Zaskrzypiały hołople, rząd pleców się przegiął,
Wszystkie pługi rwą na raz ziemię z taką siłą,
Że darń w górę tryskała i kiedy pył opadł,
Mógłbyś przysiąc, że miedzy tu wcale nie było.
Krają pole Olszewskich, przodem idzie Szkopiak —
Konie, zniżywszy grzbiety, prą z mocą na przelaj
Długą linią pstrokatą, co wnet się wygięła
Jakoby łuk z leszczyny napięty do strzału.
Wzrok, co konie taksował na pańskich wyścigach,
Bez monokla by stwierdził, że suną po malu,
Lecz już na drugiej mordze ów tępy błysk wygasł,
Jaki da.. pod słońce, gdy spojrzysz nań z bliska,
Zadry słomy i trawa pyrzasta ścierniska.
Za każdym pługiem biegnie jakby struga rwąca
Czarna wezbrana bruzda; i nie tak męcząca
Jest orka, kiedy do niej stanęli gromadnie.
Suną konie. Już miedza następna jak okop
Staje w poprzek. Wnet na nią srokacz Króla wpadnie
I dwa wrone podobne burzliwym obłokom,
Dalej gniadosz i karaś Walka, w ślad jak cienie
Dwanaście innych koni, których nie wymienię.
Do zmroku jeszcze cztery miedze zaorali.
Wściekłymi spojrzeniami kłuto ich z oddali.
Wiąckowa przez czas jakiś nieruchoma stała
Tak skrzywiona, że Król nasz, co dobrą ma pamięć,
Mówił, że się historia jak raz przypomniała
Z żoną świętego Lota zamienioną w kamień.
Pod wieczór wiatr się zerwał, tłukł w szyby.
Wieczorem
Przy lampce Król z Olszewskim zliczyli na prędce
Wyniki dziennej pracy, doprawdy, że spore,
Choć bedlnowskie traktory zoorałyby więcej.
Wypisali i krechą podkreślili białą
Owe miedze i osiem zoranych hektarów
Na deszczułce specjalnej w miejscu przez wieś całą
Poważanym, pod dzwonem, co strzegł od pożaru.

*

Śpią spółdzielcy jak bitwą strudzeni żołnierze,
Tylko oczu Wiąckowych sen słodki nie bierze.
Wreszcie zegarek Króla zgodnie ze swym planem
I szkarłatne koguty otrąbiły ranek.
Spółdzielcy wyszli w pole mimo wczesnej pory.
Wtem Boguśka, podlotek z śmiesznym, wzdartym
noskiem
Biegnie ku nim i palcem wskazuje za wioskę...
Z rannej mgły wynurzają się zwolna TRAKTORY...

Literatura - W ludowej Bułgarii - Życie

BRONISŁAW CIRLIĆ

Poeta bułgarskiego proletariatu

(W 30 rocznicę śmierci)

MASY pracujące Bułgarii ze szczególnym pietyzmem przechowują pamięć o wielkim poecie i rewolucjoniście Christo Smirneńskim (1898 — 1923).

W dziejach walki rewolucyjnej ludu bułgarskiego i w dziejach literatury ojczystej Smirneński zajmuje jedno z najbardziej zaszczytnych miejsc. Zdobył je dzięki temu, że niepowszedni swój talent oddał bez reszty proletariatowi bułgarskiemu i jego Partii.

*

Wysoką dojrzałość ideową i artystyczną zdobywał Smirneński na drodze wielu trudnych doświadczeń życiowych.

Dzieciństwo spędził w małej mieścinie Kukusz. Uczył się czytać i pisać, pomagał ojcu w wypiekaniu ciastek i sprzedawał gazety.

Pierwsza wojna światowa pognała cukiernika Dymitra Izmirliewa wraz z czworgiem dzieci na tułaczkę. Osiedlili się wreszcie w ubogiej dzielnicy sofijskiej—Jucz-Bunar, gdzie Christo żył i tworzył do końca życia. Z Jucz-Bunaru pochodzili jego najlepsi i najbardziej oddani przyjaciele. Wszyscy tam wiedli ciężkie życie. Każdy wszelkimi siłami starał się wydobyć z tej studni (bunas - studnia). Każdy — tak jak potrafił.

Jego ojciec, któremu nie bez trudu przychodziło utrzymać rodzinę, przede wszystkim starał się, by dać dzieciom wykształcenie, by zapewnić im życie lepsze niż je sam miał. Christo oddał do szkoły technicznej. A nuż zostanie technikiem, może nawet inżynierem, chleb będzie miał zapewniony.

Christo pilnie uczy się mechaniki i geometrii wykreślnej, a zeszyty szkolne prócz rysunków technicznych wypełnia krótkimi, a ciętymi wierszami, w których opisuje śmieszności ludzkie podpatrzone dokoła siebie: na ulicy i w szkole. Debiutuje w jednym z mniejszych pism satyryczno - humorystycznych i szybko zdobywa rozgłos.

Gdy załamał się południowy front bułgarski w roku 1917-1918, a władze królewskie poczęły mobilizować i wysyłać na front nawet nieletnich uczniów, Izmirliewowie zapisują Chisto do podchorążówki — zanim skończy się długie przeszkolenie i wojna się skończy.

W szkole oficerskiej pod wpływem bezdusznego drylu i tępych metod wychowawczych Smirneński po raz pierwszy zastanawia się nad rzeczywistością, w której żyje. A gdy do Bułgarii dochodzą wieści o rewolucji w Rosji i obaleniu cara, gdy na ulicach sofijskich mnożą się pochody głodnych i bezrobotnych, pochody kobiet domagających się powrotu z frontu swych mężów, podchorąży Christo zaczyna się wstydzić, że będzie oficerem królewskim... Jednakże gdy zbuntowani żołnierze za przykładem żołnierzy rosyjskich odmówili walki za obce im cele, ogłosili w Waldaii i Radomirze „Republikę Bułgarską" i pomaszerowali na stolicę (1918 r.), Christo „w poczuciu honoru" przyszłego oficera wraz z kolegami i gwardią królewską stanął im na drodze.

W tych rewolucyjnych dniach poruszyła Smirneńskiego dobroć starego powstańca, który zamiast strzelić mu w pierś poradził, by poszedł do domu, a przeraziło bestialstwo wojsk królewskich, dokonujących pogromu zbuntowanych żołnierzy w Waldaii i Radomirze. Porzuca więc podchorążówkę, płacąc pożyczonymi pieniędzmi odszkodowanie za miesiące spędzone w koszarach. Znów wraca na Jucz-Bunar, wraca do biedoty, która podczas wojny cierpiała i głodowała, a teraz kroczyła w pochodach, domagała się obalenia monarchii i rządu oraz ukarania winnych za wplątanie Bułgarii w wojnę imperialistyczną. Ludzie ci zaufaniem obdarzali Partię Komunistyczną, oddawali jej w wyborach swoje głosy, szli pod jej sztandarami.

Christo Smirneński przeżywa w tym okresie wielki przełom. Dostrzega, jak nikczemne i obłudne są hasła monarchii i burżuazji bułgarskiej, jak kłamliwy ich patriotyzm, dostrzega jak chwieje się w posadach stary świat. Wsłuchuje się w pogłosy rewolucji, które przebiegają poprzez Bułgarię i świat, waży i porównuje hasła i programy polityczne. Przekonuje się wreszcie, że gdy świat wyraźnie dzieli się na wyzyskiwaczy i ciemiężców po jednej stronie i na lud pracujący, który ponosi wielkie ciężary i trwa w nieustannej biedzie, po drugiej stronie — miejsce jego, poety, syna ubogiego cukiernika z Jucz-Bunaru, jest po stronie ludu. Na początku 1920 roku Smirneński wstępuje do Partii Komunistycznej. Teraz dopiero Smirneński w pełni uświadamia sobie, co w życiu przeszedł i wyciąga z tego wnioski. Zaczyna swym talentem służyć ludowi, jego walce i marzeniom o lepszym życiu. Wprowadza do poezji bułgarskiej nowe tematy, nowe uczucia. Gdy zaczyna krępować go modna wówczas maniera symbolistyki Smirneński dla nowej treści szuka nowej formy, nowych obrazów, nowego języka.

Wiele swych wierszy poświęca Smirneński żołnierzom Wielkiego Października, obrońcom rewolucji i pierwszego państwa socjalistycznego, odpierającym ataki kontrrewolucjonistów i interwentów państw kapitalistycznych — „Czerwonym szwadronom":

Mknijcie, mknijcie w dal, szwadrony! Patrzą na was miliony
Z miłością, co w sercach żyje
i z nadziei tęsknym wzrokiem.
Cały świat zaciska pięści i
prostuje grzbiet zgarbiony,
Patrzy na was i olśniony jest
zwycięskim waszym krokiem.
Lećcie, lećcie szlakiem rzezi
z deszczem ognia i żelaza,
Dni bezchmurnych i szczęśliwych
zwiastunowie rozwichrzeni,
W grzmotach gromów i błyskawic
wyzwalając świat z zarazy
Świat i ludzkość, odrodzoną w
zbuntowanych fal czerwieni!
(tłum. R. Kwiatkowski)

W wierszach poety znika samotna jednostka: występują w nich świadomi, zjednoczeni, walczący proletariusze. Smirneński opiewa bojowników Komuny Paryskiej, rewolucjonistów: Karola Liebknechta Różę Luksemburg, czy Christo Botewa. Uczucia i tęsknoty, które nurtowały proletariat na całym świecie, odezwały się w wierszach Smirneńskiego. Nic też dziwnego, że jeszcze za życia poety — na zebraniach, wiecach, mityngach, w pochodach robotniczych — rozlegały się często jego wiersze. Bojowa, pełna optymizmu poezja Christo Smirneńskiego często rozjaśniała noc monarcho-faszystowskiego terroru w okresie międzywojennym. Przepisywane czy też podawane z ust do ust wiersze jego przemierzały całą Bułgarię. Wypisywano je na murach w miastach i wsiach, na komisariatach i więzieniach. Partyzanci bułgarscy nieraz powtarzali jego strofy, a brygadę szturmową nazwali jego imieniem.

W Ludowej Bułgarii poezja Christo Smirneńskiego odżyła i nabrała szczególnego znaczenia. Iść bowiem śladem Smirneńskiego, to znaczy służyć klasie robotniczej, być oddanym jej Partii; iść za głosem wierszy Smirneńskiego — to walczyć ofiarnie i wytrwale o pełne zwycięstwo sprawy robotniczej, o zwycięstwo socjalizmu. A człowiek i poeta, który staje w obronie praw wyzyskiwanych i uciskanych, który walczy ze starym światem o świat nowy, socjalistyczny — zawsze bliski będzie także polskim ludziom pracy i proletariatowi polskiemu. Dlatego to bliskie jest nam życie Christo Smirneńskiego, bliska wymowa, żar i piękno jego dzieła.

Bronisław Cirlić

STANISŁAW KISIECKI

„GÓRNICY" IWANA MARTINOWA

IWAN Martinow jest pisarzem, którego biografia decyduje o charakterze twórczości, a obie związane są bardzo silnie z walką klasy robotniczej i Komunistycznej Partii Bułgarii.

Urodzony w ubogiej robotniczej rodzinie Martinow z trudem skończył gimnazjum. Już wówczas członek Komunistycznego Związku Młodzieży, wydalony ze szkoły, zaczyna pisać. Pisma, z którymi się wiązał — to postępowe „Robotniczy Front Literacki", „Postrach", „Jedność".

Niedostatek jest stałym towarzyszem Martinowa. W ciągu kilku lat Martinow ze dwadzieścia razy zmieniał zawód: był redaktorem, administratorem, dziennikarzem, zecerem, domokrążcą - sprzedawcą różnorodnych drobnych artykułów codziennego użytku, robotnikiem, sprzątaczem, urzędnikiem. To pełne trudnych doświadczeń życie dało pisarzowi ogromną zdobycz — znajomość życia i pracy prostych ludzi Bułgarii.

Martinow, prześladowany za swe pierwsze książki demaskujące wyzysk rodzimych kapitalistów mając 22 lata staje się aktywnym członkiem Komunistycznej Partii Bułgarii. Odtąd całe jego życie i działalność literacka służy sprawie walki klasy robotniczej i chłopstwa o zniesienie ustroju kapitalistycznego.

Już za pierwszy zbiór opowiadań i reportaży „Front" o życiu robotników i chłopów i ich walce z terrorem i kapitalistycznym wyzyskiem zostaje Martinow skazany na 3 lata więzienia.

Później następują pozycje: „Towar bez klientów" (1938) dający obraz nędzy drobnych rzemieślników, dotkniętych kryzysem gospodarczym i „Odpust na Matkę Boską" (1939) — opisujący losy młodego chłopca wiejskiego i jego drogę do świadomości klasowej.

Tradycja startu pisarskiego Martinowa i jego powiązania ze sprawą walki o wyzwolenie społeczne ludu żyje w całej jego twórczości, także w wydanym ostatnio zbiorze opowiadań pod wspólnym tytułem „Górnicy".

Tematycznie opowiadania zawarte w tym tomie obejmują lata ostatniej wojny i powojennego budownictwa podstaw ustroju socjalistycznego w Bułgarii.

W czasie wojny Martinow brał udział w walkach z Niemcami i był redaktorem gazety wojskowej „Frontowiec". Otwiera tom króciutkie opowiadanie — obraz partyzanta Kaliaka wracającego do domu, do łoża umierającego ojca. Kaliak ginie, otoczony przez wrogów, ale myślą jego ostatnią jest: „Zginę, ale zginę godnie". Ten króciutki i, wydaje się, bardzo fragmentaryczny obraz charakteryzuje bohaterską postawę narodu bułgarskiego, walczącego w szeroko rozwiniętym kierowanym przez nielegalny wówczas Front Narodowy, ruchu partyzanckim.

Dalsze opowiadania: „Jeniec", „Na rozkaz Stalina" i „Frontowi towarzysze" — to obrazy z walk na froncie węgierskim. Armia bułgarska pod dowództwem gen. Włodzimierza Stojczewa wchodziła w skład wojsk radzieckich. Jedno z opowiadań „Na rozkaz Stalina" mówi o owym pamiętnym rozkazie z dn. 31 marca 1945 r. skierowanym do wojsk Trzeciego Ukraińskiego Frontu, w którym Wódz Naczelny, Stalin wyróżnił biorące udział w walkach na Węgrzech wojska bułgarskie.

Rozkaz ten odczytany wśród trudnych walk ulicznych podrywa zmęczonych żołnierzy do nowego zwycięskiego ataku.

Opowiadania przytoczone wyżej stały się w literaturze bułgarskiej pięknym obrazem przyjaźni bułgarsko - radzieckiej. Przyjaźń ta sięga daleko wstecz, kiedy to wojna Rosji z Turcją w 1877 r. przywróciła narodowi bułgarskiemu wyzwolenie od nienawistnej niewoli tureckiej. Po tamtych latach, mimo zaborczych imperialistycznych celów Rosji carskiej, pozostało w narodzie bułgarskim wspomnienie Rosjan — braci, wyzwolicieli.

Przyjaźń ta miała głębokie tradycje również w literaturze. Nie bez wpływu pozostawały kontakty najwybitniejszych pisarzy i działaczy rewolucyjnych Bułgarii z Hercenem, Czernyszewskim, Tarasem Szewczenko i innymi.

Ale pełny kształt tej przyjaźni narodził się dopiero w czasach wspólnych walk narodów radzieckiego i bułgarskiego przeciw faszyzmowi. O tym właśnie mówią opowiadania Martinowa.

Przyjaźń między tymi dwoma narodami raz zawarta przekształciła się w latach powojennych we wszechstronną pomoc i przykład ZSRR dla Bułgarii, jak np. w formie bezpośredniej pomocy w zbożu i żywności w latach suszy. „Frontowi towarzysze", to właśnie przykład umacniania się tej przyjaźni. Dawny towarzysz walk z frontu, Gołubienko, przyjeżdża z delegacją kołchoźników do Bułgarii i tu spotyka swego przyjaciela. Następują wspomnienia, potem wymiana doświadczeń. Krótkie, pełne ciepła opowiadanie Martinowa nabiera szerszych wymiarów i staje się obrazem wzrastającej i pogłębiającej się przyjaźni obu narodów.

Walka narodu bułgarskiego znalazła również swoje miejsce w opowiadaniu Martinowa „Parowóz Nr 0027", który jest przykładem zobrazowania tradycji walk o wyzwolenie społeczne. Pomocnik maszynisty, młody, uczący się dopiero praktykant, zazdrości innym pracy na nowych, wspaniałych parowozach, które on tylko ogląda. Sam musi praktykować na niepozornym, używanym tylko do manewrowania starym parowozie. Widząc tę niechęć maszynista opowiada pomocnikowi historię parowozu, na którym w 1905 roku po wielkim strajku górniczym w Perniku (dziś Dymitrowo) ukrywał się Georgi Dymitrow.

„Parowóz Nr 0027" i końcowe tytułowe opowiadanie „Górnicy" jakby klamrą spinają dzieje kilkudziesięciu lat walki narodu bułgarskiego. „Górnicy" są opowiadaniem współczesnym. Pięcioletni plan Bułgarii obejmujący lata 1949 — 1953 zmienia w poważnym stopniu oblicze kraju, w którym stosunek przemysłu do rolnictwa wyrażał się liczbą 30:70 na korzyść rolnictwa. Plan 5-letni wyrówna tę różnicę do liczb 46,8:53,2 wciąż jeszcze na korzyść rolnictwa. Ale mimo to z Bułgarii typowo rolniczej stworzy kraj o równowadze przemysłu i rolnictwa. Ten poważny rozwój wymaga wzrostu liczebnego klasy robotniczej. I właśnie „Górnicy" Martinowa mówią o tym wzroście. Do rozbudowanej kopalni dojeżdżają z okolicznych wsi chłopi, pracujący dziś jako górnicy. Ale żaden z nich nie czuje się w pełni górnikiem. „Jedną nogą jest w kopalni, a drugą na wsi. Kopalnia, która mu daje duże korzyści — pociąga go, ale i wieś, gdzie ma trochę więcej lub mniej ziemi, zaniedbane lub troskliwie doglądane gospodarstwo, wieś z jej zwyczajami i przyzwyczajeniami, z tym wszystkim, co go interesuje i obchodzi — trzyma go mocno i przeszkadza mu poświęcić się jedynie i wyłącznie zawodowi górnika".

Dlatego właśnie dyrekcja i kierownictwo partyjne kopalni podejmuje wielką akcję przesiedlania tych ludzi do miasta, zbudowania nowych osiedli, słowem przekształcenia tych jeszcze półchłopów w prawdziwych robotników.

O przekształceniu się narodu bułgarskiego, o tworzącym się jego nowym obliczu mówią właśnie „Górnicy". Za tę opowieść otrzymał Iwan Martinow w 1951 r. państwową nagrodę im. Georgi Dymitrowa.

Jest ona swego rodzaju ukoronowaniem zebranego w tym tomie dorobku pisarskiego Martinowa. Skupia on w sobie wszystkie jego najbardziej charakterystyczne cechy. Przede wszystkim wielką, artystyczną prostotę, a przy tym świeżość i celny wybór problematyki, pozwalającej pisarzowi zobrazować najbardziej ważne i kluczowe momenty życia i walki swojego narodu.

Stanisław Kisiecki

ANGEŁ KARALIJCZEW

Z Ł A T U S Z A

Budowa podstaw socjalizmu w Bułgarskiej Republice Ludowej zmienia oblicze tego kraju, który do niedawna był jednym z najbardziej zacofanych w Europie. Ofiarna praca narodu bułgarskiego i szczodra, bezinteresowna pomoc bratniego narodu radzieckiego likwiduje w szybkim tempie wiekowe zacofanie i przekształca Bułgarię w kraj stali, betonu i elektryczności. W zapadłych okolicach wiejskich, gdzie przed dziesięciu laty socha, sierp i cepy stanowiły powszednie narzędzia pracy, wyrastają dziś wielkie obiekty przemysłowe i elektrownie wodne, przez pola spółdzielcze przebiegają radzieckie traktory i kombajny, a w chatach ukazują się lampy elektryczne, radio i biblioteczki. W przebudowie kraju doniosłą rolę odgrywają ochotnicze brygady pracy Dymitrowskiego Związku Młodzieży Ludowej. Brygady młodych entuzjastów uczestniczą w budowie nowego, socjalistycznego miasta — Dymitrogradu, kładą nowe szosy i linie kolejowe, wznoszą mosty i wiercą tunele.

Zamieszczona poniżej opowiadanie opisuje walkę nowego ze starym w pierwszych latach ustroju demokracji ludowej, kiedy to brygady młodzieżowe przebijały tunele przez łańcuch gór Starej Planiny, który przecinając kraj na całej jego długości utrudniał komunikację między okręgami północnymi a południowymi.

REDAKCJA

TAM, gdzie szemrząca górska rzeka wyżłobiła sobie koryto i wije się na dnie Diabelskiej Przełęczy, inżynierowie wznieśli wiadukt z kamienia i betonu. Tędy będzie przechodzić linia kolejowa. Po drugiej stronie rzeki wznoszą się wysokie, niedostępne góry, kraina pasterzy. Pociąg już nie będzie wspinał się zasapany, ale jak wąż wsunie się w tunel, przetnie górę i wypełznie po przeciwnej stronie w kotlinie, gdzie wydobywają węgiel. Brygady chłopców i dziewcząt rozłożyły się u stóp gór. Rozbili namioty, poskiecali baraki jeden przy drugim, wznieśli maszt ze sztandarem. Przez cały dzień tańczyli, śpiewali, bawili się, a o zmroku rozległy się dźwięki trąb i wszyscy się rozeszli. Obóz zaległa cisza. Następnego ranka młodzież przypuściła szturm do gór kilofami, łopatami, drągami i taczkami. Trzy dni kopali od świtu do zmroku, wdzierając się niby krety w miękkie łono ziemi, z wykopanego piasku sypiąc wał po obu stronach wykopu. Czwartego dnia trafili na skały. Góry przeciwstawiły im swą kamienną pierś nie do przebycia, jakby wołając:

— Już dość! Idźcie sobie stąd!

Schodzili się chłopi zobaczyć, co też młodzież wyprawia. Kiedy dowiedzieli się, że kilofy trafiły na kamień, zaczęli kiwać głowami:

— Czy te dzieciaki poszalały? Toć góry z krzemienia! Tych gór ludzka ręka nie zdoła przebić.

Lecz młodzi nie połamali sobie rogów. Sprowadzili dwa motory, napoili je benzyną, podciągnęli gumowe węże do tunelu, wbili w skałę elektryczne świdry, napełnili otwory materiałem wybuchowym. Straszliwe eksplozje wstrząsnęły skalistymi górami, aż szyby w oknach pobrzękiwały, a ptaki pouciekały z gniazd przestraszone. Babka Złatusza zapaliła lampkę przed ikoną i co chwila żegnała się trwożnie. Zamiast wilgotnej ziemi z rozdartej gardzieli tunelu zawzięci junacy poczęli wywozić skalny złom. Kamień w miał zamieniali.

I zniknęli w tunelu. Rozległo się bębnienie krzemionkowskiego dobosza: Potrzeba rąk do pracy, żeby zsypywać kamień i ziemię na dno

Diabelskiej Przełęczy. Kolej będzie jechać po równym terenie. Kto chce dobrowolnie pomóc przy budowie nowej linii kolejowej, niech wstępuje do brygady. Wszyscy chłopcy i dziewczęta z Krzemionkowa zgłosili się do pracy, zarzucili na ramiona kilofy i łopaty, z szop wyciągnęli taczki i ruszyli za łopocącym sztandarem do Diabelskiej Przełęczy. Babka Złatusza patrzyła za nimi przysłoniwszy dłonią oczy i powiedziała.

— Co za urodziwe chłopaki! Gdyby mój Cenko żył, szedłby teraz ze sztandarem na przedzie.

Długo wycierała zapaską oczy i pochlipywała spoglądając, jak brygada znika jej z oczu za oborą Dojczyna. Pieśń ich zamilkła w leśnej kniei.

Dziadek Stojne wrócił do domu zły jak osa. Kopnął grabie, które staruszka oparła o ścianę, pchnął drzwi i potknął się na progu.

— Zniszczyli mnie z kretesem! — zawołał i rzucił na ławę baranią czapę. — Zabrali mi najlepszą łąkę. W dodatku setki ludzi sprowadzili na drugą stronę góry. I zaczęli stamtąd kopać w naszą stronę. Kopią diabły, skały rozbijają. Góry drżą w posadach. I nie wiedzą, że to już ich koniec! Kiedy wedrą się do środka, wszystkich co do jednego góra przywali i żaden już nie zobaczy światła dziennego. Zapamiętaj moje słowa...

— Ach, człowieku, człowieku! Kieliszek cie zgubi! Czemu porywasz się z motyką na słońce? Czemu tak się pienisz?

— To nie twoja sprawa.

— Nie widzisz, że młodzież rozpoczęła wielką robotę? Aż dziw, że tego nie pojmujesz. Kiedyś byłeś niegłupi, ale od śmierci naszego dziecka jakoś się załamałeś, bardzo się zmieniłeś...

— Nie waż mi się wspominać dziecka! Nie waż się, rozumiesz —

powtórzył dziadek Stojne podniesionym głosem.

— Dobrze, już dobrze — odpowiedziała babka Złatusza i wyszła trzasnąwszy drzwiami. Przypomniała sobie ostatnie dni swego syna. Wrócił z sianokosów przed południem żółty jak wosk. Rzucił kosę na środku podwórka i opadł na ławę.

— Matko, zejdę z tego świata! Coś mi kiszki skręca. Przywołaj prędko ojca i zawieźcie mnie do miasta... Oj, matulu, matulu, strasznie boli!... Oj...

Wsadzili więc chorego na wóz i pojechali do miasta. Stojne zacinał konia pożyczonego od karczmarza Dojczyna i ocierał spocone czoło dłonią. Cały dzień i całą noc trzęśli chorego na nierównej wyboistej drodze. Złatusza siedziała u jego wezgłowia i okładała mu czoło wilgotną szmatą. Wargi miał białe od gorączki. Co pewien czas jej drogie dziecko unosiło się i wołało słabym głosem:

— Oj, ten wóz mnie wykończy. Oj boli, matulu! — Oczy jego spoglądały, jakby chciały ją pochłonąć. W mieście lekarz krzyczał na nich:

— Czemu tak późno przywieźliście chorego? Cóż to za ludzie! Jak można było wieźć go cały dzień i całą noc na rozklekotanym wozie? Czemu nie przywieźliście go koleją? Dzicy ludzie!

— My nie mamy kolei — usprawiedliwiał się Stojne.

— Nie macie! Znam ja was. Żal wam pieniędzy, aż człowieka pochowacie. Wnieście go!

Wnieśli, ale Cenko już oddawał duszę Bogu...

Powieźli z powrotem Cenka tą samą drogą. Teraz był milczący, spokojny, miał zamknięte oczy. Nic go już nie bolało. Czoło jego było zimne jak lód...

— Gdyby żył, poszedłby teraz do brygady, a ojciec nie włóczyłby się po karczmach i nie przepijał majątku — mruczała staruszka.

W nocy śnił się staruszce jej syn Cenko, jak wraca z obory i prowadzi białe jagnię na postronku. Jagniątko beczało żałośnie, aż się serce krajało. „Czemu beczy, biedaczek?" — zapytała babka Złatusza.

— „Pić mu się chce, matko. Cały dzień szukałem wody w wyschniętym korycie rzeki, ale wody nie ma ani na lekarstwo — odparł Cenko. Babka Złatusza pobiegła do studni, napełniła wiadra i napoiła jagnię. Ale pies zaszczekał na podwórku i przebudziła się.

Z rana, kiedy dziadek Stojne wygnał stado na łąkę, babka Złatusza zakrzątnęła się i naszykowała wielki gąsior.

— Dokąd to? — zagadnęła sąsiadka Dymitrowa.

— A no, pójdę zobaczyć, co robią młodzi. I wody im przy okazji zaniosę.

Dziewczęta w białych chusteczkach pracowały zawzięcie przy wyrównywaniu nasypu kolejowego, a śpiew ich przypominał z daleka brzęczenie pszczół. Ledwie zobaczyły zgarbioną pod ciężarem kobiecinę, przerwały robotę, prostując się.

— Patrzcie, babka Złatusza! Co cię sprowadza, babciu? Jak wdrapałaś się po tej kamienistej ścieżynie?

— A no, przyszłam zobaczyć jak sie miewacie i co robicie. Przyniosłam wam też zimnej wody ze studni. Musicie być bardzo spragnione.

— Kochana babcia, dla nas dźwigała taki duży gąsior! Nigdy nie piłam tak dobrej wody!

— Twoje zdrowie babciu! — wołały dziewczęta pijąc zimną wodę. W gąsiorku bulgotało, jakby ktoś dmuchał w wierzbową piszczałkę.

Staruszka patrzyła na dziewczęta załzawionymi oczami: Nikt im nie płaci, a pracują jak mrówki. Dziwni ludzie! Mozolą się dla biedoty. Gdy wypiły wodę, staruszka zarzuciła na ramię pusty gąsiorek i wróciła do wsi; oporządziła dom, za-

(Dokończenie na str. 7)

Na widowisku Drygasa i Sikiryckiego w Łaznowie.

ALEKSANDER JAWICZ

GS-y, ludzie i sztuka

(Co mówią chłopi o widowisku Drygasa i Sikiryckiego?)

Był kiedyś w Łaznowie inny, poprzedni komitet sklepowy G. S. Komitet ten, jak ów u Drygasa i Sikiryckiego, na żądanie łaznowskich chłopów został rozwiązany, zmieniony. Walnie do tego przyczynił się prezes gminny ZSCh, Marcinkowski, który opinię ogółu wziął, i bardzo słusznie, pod uwagę bardziej niźli trudności natury formalnej, wyszukiwane przez wysoki brzeziński PZGS. Dziś, z perspektywy czasu, łaznowiacy podchodzą do tej sprawy w dyskusji z półuśmiechem: — „Ano, był sobie Żytko, a może dwóch takich". Nie chodziło właśnie akurat o ręcznik, wiadro czy spluwaczkę, lecz dla odmiany o białe płótno, garnki i lemiesze. Fakt był jednakże faktem, w przyczynach i skutkach taki jak zawsze „gdy kum z kumotrem pokuma się". Ale oto nastąpiła zmiana. Przyszedł nowy komitet, nowi ludzie, nowe stosunki, a jednak...

✻

Jest niewątpliwą zasługą autorów, że na ostrzu noża, a przecież umiejętnie, w nieskomplikowanej a wymownej satyrze postawili problem „stosuneczków w G. S.". I tylko dlatego, że satyra ta nie jest oderwaną fikcją — twierdził średniak — Marian Binek i mówili inni, że — „sztuka się podoba... sztuka jest morowa... sztuka jest POTRZEBNA".

Z drugiej strony jednak, jeśli Malczykowa, przedstawicielka DOBREGO komitetu sklepowego zaatakowała pozycje wyjściową autorów to dlatego, że w Łaznowie, jak i wszędzie zresztą, nie wszystkiemu jest winna Spółdzielnia Gminna. Czy autorzy mieli prawo umiejscowić w utworze wszystkie mankamenty wyłącznie na najniższym szczeblu i założyć, że już w powiecie wszystko przebiega idealnie. To jednostronne założenie niejedna gmina przyjmie krytycznie, tak jak Łaznów, nie przekonany posągowością prezesa Koziołka i jego wielkimi słowami „o głosie sumienia społecznego", jak i ministerialną postawą wtedy, gdy dany PZGS nie realizuje zamówień, nie reaguje na monity i wnioski terenowe, a i w planowaniu...

...W planowaniu, na przykład, przydziału chleba i cukru, brzeziński PZGS okazuje się sztywny. Na terenie gminy buduje się w tej chwili poważną inwestycje Planu: rurociąg od Niebieskich Źródeł ku Łodzi... Tysiąc, albo i ponad tysiąc robotników napływowo „zaludniło" gminę. Zapewne mają oni prawo zaopatrzyć się w miejscowych GS-ach w kawałek chleba, trochę cukru czy wędliny. I zapewne winni oni to uczynić bez szkody dla mieszkańców gminy, jak i bez ograniczeń dla siebie... A oto i Łaznów i sklep w Rokicinach otrzymują wciąż niezmienione ilości pieczywa i cukru, czy dawne przydziały tygodniowe wędliny. I nic tu nie pomagają alarmowe sygnały uczciwie pracujących komitetów.

Jasne, że autorzy nie pisali swej sztuki dla Łaznowa, ale jasne też, że nie tego żądają łaznowscy dyskutanci. Powiadają oni jednak wyraźnie: „czekamy by w najbliższym czasie autorzy jeszcze głębiej sięgnęli ostrzem satyry". Tak jak jest zasługą autorów, że mobilizują skutecznie gromadzkich i gminnych widzów teatralnych do walki z negatywnymi postaciami życia społecznego przez wykazanie na scenie ich szkodliwości, przez obrazowe przedstawienie co to znaczy walka klas na codzień na wsi, tak winno stać się jaknajrychlej ich zasługą dźwignięcie aktywu wiejskiego do świadomego współdziałania w walce ze starym, na rzecz nowego także i na wyższych, od gminnego, szczeblach! Bo „sztuka rozszerzona i pogłębiona dałaby jeszcze więcej przeżyć widzom i zrozumieć konieczność STAŁEJ CZUJNOŚCI... Sztuka o pracy komitetów sklepowych nad rozdziałem towarów jest już o tyle spóźniona, że OBECNIE komitety mają już SZERSZE ZADANIA. Trzeba i o tych sprawach POWIEDZIEĆ" — jak to wyrażone zostało w uwadze St. Krakowiaka, przodującego korespondenta „WSI", właśnie z Łaznowa, uwadze wpisanej do księgi pamiątkowej „Artosu".

Dla mnie te słowa w powiązaniu z całością dyskusji nie są niczym innym, jak konkretnym zamówieniem społecznym dla Drygasa i Sikiryckiego i dla innych autorów, na nową, jeszcze bardziej na gorąco chwytającą bieżące potrzeby wsi sztukę, oraz wyrazami szczerego uznania dla łódzkiego „Artosu" za jego niewątpliwie szczęśliwą koncepcję wyjścia na wieś z programem całospektaklowym i współczesnym, w miejsce dotychczasowych wyłącznie estradowych wypadów „składankowych", nie zawsze na dobrym poziomie.

✻

Najbardziej „wzięło mnie" w łaznowskiej dyskusji to, że zabierający głos najszerzej komentowali postać Żytki — zarówno w sztuce, jak i w życiu. Kiedy spytałem dlaczego gniew ich sięga szczególnie tej postaci, gdy głównym „czarnym charakterem" jest przecież w sztuce Kierownik GS, a Żytko chwiejnym, słabym, uległym, lecz przecież z gruntu niezłym człowiekiem — otrzymałem odpowiedź, solo od Binka i w chórze od innych: „dlatego, że pan Żytko zawiódł zaufanie gromady, bo jego właśnie postawiono po to, by czuwał, jak kierownik pracuje?".

Kiedy przed wyjazdem rozmawiałem kilka minut z Drygasem i Sikiryckim o ich założeniach w sztuce „Co komu winna spółdzielnia Gminna", wyjaśnili mi krótko:

— „Wzbudzić czujność, wskazać na rolę czynnika społecznego i na niebezpieczeństwo wynikające z niewłaściwego ustawienia tego czynnika".

Łaznowskie wypowiedzi najlepiej świadczą, że to założenie autorskie zostało spełnione w całej rozciągłości...

✻

Są w sztuce i drobne niekonsekwencje autorskie i uproszczenia i drobne niedociągnięcia reżyserskie. To nie jest ważne, ale to już zobowiązuje. Najważniesze jest, że zarówno ideowo jak i pod względem całokształtu formy artystycznej i scenicznej, sztuka jest godna uwagi, słuszna, pożyteczna.

Wspomniane jednak drobne niekonsekwencje powodują uwagi widzów. Jak powiedziałem, nie przekonuje zbyt posągowa postać inspektora z powiatu, który z nieuzasadnioną cierpliwością wysłuchuje anegdotycznych tyrad kierownika GS, gdy rzecz kwalifikuje się do zdecydowanej jakiejś reakcji, nie przekonuje założenie (dopiski zresztą pozaautorskie), że amant Zosi uciekł od niej ze względu na groteskową urodę, gdy warunki, według intencji reżysera, nie zezwalają na przyjęcie przez widza tej wersji. Nie przekonuje sytuacyjność, w której inspektor z powiatu, przyjechawszy na ciężką bądź co bądź pracę, ani gestem ani słowem na scenie przez ani jeden moment nie pracuje, wydając natomiast polecenie wykonywania „koncertów" w czasie godzin pracy mimo że rzecz dzieje się przecież w dobie obowiązywania dekretu o socjalistycznej dyscyplinie pracy. Autorska intencja niewątpliwie szła tylko w kierunku „patrzenia przez palce" na „dyplomatyczne wybiegi" kierownika G.S., coś więc tu „nie zagrało" w realizacji zamysłu. Oczywiście wszystko to są szczegóły, ginące w dodatnim wrażeniu z całości.

✻

Na zakończenie kilka słów niewątpliwie należy się aktorom. Bielecki w roli powiatowego rewizora jest w kwestiach i gestach dobry, jednakże za bardzo przejął się „posągowością", być może narzuconą mu z góry, wskutek czego jest dygnitarzem, a nie powiatowym prezesem spółdzielni. Wrażenie to pogłębia jeszcze kostium nietypowo wykwintny jak na podróż roboczo-inspekcyjną. Na duży plus zaliczyć trzeba Bieleckiemu usiłowanie mimicznego podciągnięcia luk w akcji, jakie jemu jednemu właśnie w sztuce przypadły. Chojecka dała zupełnie poprawną Zosię, co zasługuje na uwagę szczególnie, jako że na scenie znalazła się po raz pierwszy. Ponosi ją jedynie chwilami „zryw pozytywności", gdy powinno być inaczej. Buchta w roli kierownika jest nierówny. Przyczyn tego szukać jednakże należy w... aplauzach, jakie zbiera Szyndler udaną zewnętrznie i aktorsko groteską Żytki, Buchta bowiem wyraźnie rezygnuje chwilami z właściwych odcieni swej postaci na rzecz efekciarstwa. A dowcip w tym, że efekciarstwo jest na miejscu tylko i wyłącznie u Szyndlera. Toteż tam, gdzie Buchta jest sobą — daje dobrego Kierownika.

✻

W sumie: więcej takich sztuk dla wsi i więcej całospektaklowych ekip wyjazdowych „Artosu".

Aleksander Jawicz

WOJCIECH DRYGAS i IGOR SIKIRYCKI

„CO KOMU WINNA SPÓŁDZIELNIA?"

(Część pierwsza widowiska satyrycznego)

(W sklepie gminnej Spółdzielni. Lada, opodal lady skrzynki, paczki. Za ladą wisi półka, na półce butelki, słoiki etc. W głębi drzwi wejściowe i duży napis: „Uwaga! Gminna Spółdzielnia zamknięta — dzielimy nowe towary!)

Kierownik (zwraca się do widowni): Wezwałem was tutaj, moi drodzy, aby te towary rozdzielić między chłopów naszej gromady. Dzielić będziemy komisyjnie przy wydatnej pomocy naszej sklepowej, panny Zosi (kłania się sklepowej) i pana Żytko tzw. czynnika z komitetu sklepowego (ukłon w stronę Żytko). Skoro więc jesteśmy w komplecie — dzielmy po sprawiedliwości...

Zosia: Nikt nam nie będzie przeszkadzać, panie kierowniku. Sklep zamknięty na cztery spusty!

Żytko: Oto lista z nazwiskami chłopów...

Kierownik: Żadne listy, panie Żytko, żadne listy. Dzielmy wedle sumienia... Sumienie nas nie oszuka, panie Żytko!

Żytko: Niech będzie wedle sumienia...

Zosia: Dzielmy, dzielmy! Czas ucieka!

Kierownik: Na pierwszy ogień ta paczka...

Zosia: A kuku? (do kierownika) Zgaduj zgadula!

Kierownik: Pstro w głowie u panny Zosi. Co jest w tej paczce?

Zosia: Wiadra!

Żytko: Dwa... cztery... osiem.. dziesięć.. Dziesięć cynkowych wiader. Komu przydzielimy te wiadra? Bo według mojej listy wypada...

Kierownik: Dajcie pokój liście, panie Żytko. Odwołajmy się do głosu

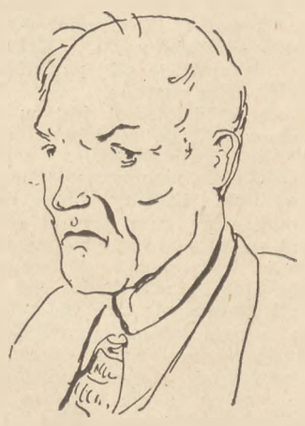

sumienia. Na trzy wiadra mam już wytypowanego nabywcę. Lepszej kandydatury być nie może, zarówno pod względem ofiarności w pracy i oddania sprawie, jak i pod względem przyjemnej powierzchowności, no i w ogóle...

Zosia i Żytko (razem): Kto to jest?

Kierownik: Co tu dużo się rozwodzić, moi kochani, to jestem właśnie ja...

Żytko: Wy?

Kierownik: Mówiliście coś?

Żytko: Mówię, że u was w obórce

jedna krowa i dwa tuczniki. Na co więc wam aż trzy wiadra? Na co?

Kierownik: A na to, żeby było higienicznie. Przyjemnie by wam było żreć ze mną jedną łyżką z tego samego talerza i chlać z jednego kieliszka. Co prawda nie jestem kostropaty i kobity nie powiem przepadają za mną, ale przyjemnie by wam nie było. To samo jest i z gadziną. Jak mogę mojej krówce podawać karmę w tym samym wiadrze, w którym przed chwilą maczała ryj zwykła świnia? I dlaczego jednej świni obrzydzać żarcie widokiem drugiej? A tak każdy zwierzak będzie lizać własne wiadro: krowa swoje i każdy tucznik swoje. Będzie higienicznie i po sprawiedliwości...

Zosia: Ja też mam krowę i dwie zakontraktowane sztuki...

Kierownik: Niech się panna Zosia nie martwi, wiaderek nie zabraknie. Pan Żytko także samo dostanie trzy wiaderka. Rozdzielimy sprawiedliwie...

Żytko (głosem płaczliwym): Chłopi będą narzekać! Były wiadra, powiedzą, coś Żytko zrobił z wiadrami? Jak podzieliłeś wiadra, łobuzie jeden? Wyspowiadaj się! Co ja wtedy powiem chłopom? Że wiadrom nogi urosły? Czy jak?

Kierownik: Powiecie im to, co wam nakazuje głos sumienia. A głos sumienia wam mówi: Żytko, to, co się dzieje na komisji rozdziału, jest tajemnicą służbową. A tajemnic służbowych zdradzać nie można, bo tylko wróg zdradza tajemnice. A wy przecież, panie Żytko, wrogiem nie jesteście. Wy jesteście pozytywnie ustosunkowani...

Żytko (uderza się żarliwie w pierś): Dalibóg, że jestem...

Zosia: Zobaczcie co tam jeszcze przysłali.

Kierownik: No, ruszcie się szybko do tej drugiej paczki... tam pewnie coś lepszego będzie...

Żytko (pochylając się nad paczką): Psia kość! stoi napisane sto sztuk, a każda sztuka osobno zawinięta...

Zosia: Umieram z ciekawości.

Żytko: Spluwaczka! (wybucha śmiechem). A niech ich donder świśnie, co to na wieś przysyłają!?

Kierownik: Nie ma się z czego śmiać, panie Żytko, przysłali, to znaczy planowo nam się to należy, jak się należy, to trzeba sprawiedliwie podzielić.

Zosia: Wedle sumienia.

Kierownik: A sumienie mi mówi, że tym chłopom z listy też się coś nie coś należy. Daj pan listę, panie Żytko (bierze listę czyta i mówi): O, pierwszy Kowalik...

Żytko: Kowalik już pół roku czeka na wiadro.

Kierownik: To niech poczeka: na razie zamiast wiadra przydzielimy mu pięć spluwaczek... i to blacha i to blacha...

Zosia: Ale pan kierownik ma głowę zupełnie jak ten mój były Walenciak...

Kierownik: A dla reszty chłopów po cztery spluwaczki i po kłopocie.

Żytko: Oj, czuję, że to sumienie bokiem nam wyjdzie.

Kierownik: Strachy na lachy panie Żytko, sumienie nie zając (odsuwa paczkę i spostrzega za nią akordeon).

Żytko: Galanty akordeon! trzeba zawiadomić świetlicę.

Kierownik: Po co zaraz świetlicę? Jakby potrzebowali, to by już dawno kupili. Oni tylko siedzą, gadają i czytają. Po co im akordeon?

Zosia (pogardliwie): Taki akordeon to przecież nie wiadro. Trzeba mieć na to pieniądze. A skąd oni by je wzięli?

Żytko: I na to jest rada. Urządzą zabawę, zagrają, zaśpiewają, zatańczą i pieniądze się znajdą.

Kierownik: Co ja tam będę czekał i remanenty robił. Właśnie niedawno pytał mnie pan Balcerzyk o harmonię. Zaraz by kupił dla swojego Felka...

Żytko: Kułakowi chcecie sprzedać akordeon, kiedy świetlica bez instrumentu?

Kierownik: Kułakowi nie kułakowi! Grunt żeby szybko sprzedać, pieniądze wziąć i nie robić remanentów. Żeby wykonać plan obrotu. Rozumiecie panie Żytko? Plan!

Zosia: Właśnie, właśnie! Święte słowa! Plan wykonamy, dostaniemy premię i wesela zaraz będą inne, jak pan Feluś zacznie podgrywać.

(piosenka)

Zosia: Bo u nas zawsze wedle sumienia
podział towarów odbywa się.
W innych spółdzielniach listę się zmienia,
A u nas nigdy, a u nas nie!

Żytko: Oj, z tym sumieniem sprawa niełatwa,
Bo u nas kułak pierwszeństwo ma!

Kierownik: Bardzo przepraszam, nie tylko kułak!

Zosia: I ja.
Żytko: I ja.
Kierownik: I ja.

Zosia, Żytko, Kierownik: (razem)
Bo u nas zawsze wedle sumienia
Podział towarów odbywa się.
W innych spółdzielniach listę się zmienia,
A u nas nigdy, a u nas nie!

Zosia: Po co biedniakom wiadro czy płótno?
po co flanela, papa czy gwóźdź?
W sklepie biedniaka wspominać smutno,
Lepiej kułaka do sklepu wpuść.

Żytko: Kułak pomaga plan nam wykonać,
Bo kułak zawsze pieniądze ma.

Kierownik: Bardzo przepraszam, nie tylko kułak.

Zosia: I ja.
Żytko: I ja.
Kierownik: I ja.

Zosia, Żytko, Kierownik: (razem)
Po co biedniakom wiadro czy płótno

(Dokończenie na str. 6)

JAN KOPROWSKI

KARTKI Z DZIENNIKA*)

PO powrocie ze Śląska podrałowałem do mojej fabryki. Akurat trafiłem na zebranie wyborcze organizacji partyjnej. Ciągnęło się dość długo, bo od godziny 17 do 22. Siedziałem jednak chętnie, ciekawy spraw i ludzi.

Najciekawsze przemówienie w dyskusji wygłosił ślusarz Kopczański, przewodniczący klubu racjonalizatorów. Mówił jakimś własnym językiem, w sposób żywy i dowcipny. To, co zdołałem zanotować, to tylko strzępy jego przemówienia. Powiedział m. in.:

— Pięknie, ładnie w referacie. Wiele napisano, jeszcze więcej zapomniano. Nasz zakład otrzymał 27 odznaczeń (brązowych i srebrnych krzyżów zasługi), zna nas cała Polska jak długa i szeroka, a w sprawozdaniu o tym ani słowa. To człowieka serce boli. A ja chociaż jestem stary, to jednak jestem młody i wszystko mnie obchodzi i ciekawi. Organizacja partyjna oderwana była od mas. Nie rozmawiała z ludźmi, nie wie, co kogo boli, co mu dolega. A teraz weźmy tego Głowackiego. Zabrał się i poszedł z niejednego zebrania. A na zapytanie, dlaczego odchodzi, odpowiadał: „Mam już dosyć tego dobrego". No to jakiż to przewodniczący ZMP? Nic nie powiedziano w referacie o ekipie łączności miasta ze wsią, a my przecież jeździmy do Bogdanki, reperujemy w POM maszyny, pomagamy ludziom, a i nasz zespół amatorski też jeździ. No to jak?

A nasi przodownicy pracy też nie zawsze uświadomieni. Wykazują się niby w robocie, ale jak chciałem powiesić ich fotografie na tablicy, to żaden z nich mi nie dał. Mówią, że nie mają zdjęć. No to ja zamówiłem fotografa. Oni nie poszli. Wstydzą się, widać, czy jak? Chciałem sobie nawet kupić sznurek, żeby na nim poprowadzić naszych przodowników do fotografii. Niejeden z nas to jeszcze płaszcz na dwóch ramionach nosi. Towarzysz Kupczyk rzadko zagląda na zebrania klubu racjonalizatorów, dyrekcja też się tym nie bardzo zajmuje. Jedna z kobiet, pierwsza w naszym zakładzie, złożyła projekt racjonalizatorski. Na komisji wszyscy mówią: „To się nie nadaje, to nie da oszczędności". A Olczyk to nawet powiedział, że ja ją namówiłem, by ten projekt złożyła, że wsadziłem jej nos we właściwe miejsce. A kobiety znowu boją się, że im normę urwą.

Może ten wynalazek da groszowe oszczędności? Może. Ale zrozumcie, jakie to ma głębokie znaczenie polityczne, że pierwsza kobieta złożyła wniosek racjonalizatorski!

Gdy Kopczański skończył, posypały się rzęsiste brawa i dopiero jego przemówienie ożywiło dyskusję.

Przewodniczący ZMP — Głowacki, na wystąpienie którego czekałem z taką niecierpliwością, zawiódł moje oczekiwania. Czułem zresztą, że i zebrani nie są z jego wystąpienia zadowoleni. Mówił sucho, beznamiętnie, nie czuło się u niego żadnego emocjonalnego stosunku do poruszanych spraw. Nie ustosunkował się do zarzutów, postawionych w referacie Kupczyka i w przemówieniu Kopczańskiego.

W przerwie między wyborami nowych władz partyjnych, Głowacki wyszedł. Gdym go w korytarzu spytał, czy wróci na salę, odpowiedział: „Ja już swoje skończyłem".

Wtorek, 28 kwietnia.

DAWNO nie rozmawiałem ze świetliczanką. Gdym zaszedł do niej, siedziała w świetlicy jakaś starsza robotnica i z goryczą mówiła o niewdzięczności dzieci dla rodziców. Jestem wścibski, więc wtrąciłem się do rozmowy.

— Już ja wiem, co mówię — odparowała. — Człowiek chucha na dzieci, dmucha, pieści, niańczy, a jak toto dorośnie, uszanowania rodzicom nie da. A już o pomocy jakiej, szkoda mówić.

— Bywa tak, bywa i inaczej. Nie wszystkie dzieci jednakowe — wtrąciłem znowu.

— Przeważnie, panie, to wszystkie takie. Mam tu niedaleko znajomą, co ona się namarzyła, żeby mieć dzieci. Co się jakie urodziło, to zmarło. Już nie miała siły chodzić na pogrzeby, za ostatnim dzieckiem pojechała na cmentarz dorożką. Z żalu nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Ale w końcu dochowała się trojga dzieci. Żebyś pan wiedział, co ona się nastarała, cudów dokazywała ta kobieta. Dziś już te dzieci dorosłe, każde z nich na swoim, a matki żadne nie wzięło do siebie.

Robotnica umilkła, popatrzyła to na mnie, to na świetliczankę, Pelagię Firle, wreszcie zabrała się i poszła do swoich zajęć.

Od Firle dowiedziałem się, że dwie książki w bibliotece fabrycznej cieszą się szczególnym uznaniem: Giny Kaus „Jutro o dziewiątej" i Cronina „Nocny dyżur". O powieści Giny Kaus pewien młody robotnik powiedział:

— Pani, to jest książka dechowa. Nie masz pani więcej takich? Jak się człowiek zaczyta, to oderwać się nie może, tak to strasznie interesuje.

— Ludzie chcą czytać o miłości — dodaje Firle od siebie. — Te sprawy najwięcej ich obchodzą. A dzisiejsze książki jakoś omijają miłość, jakby to było co niedobrego. Niech pan powie, dlaczego tak się dzieje?

— Pisarze współcześni zatracili proporcje spraw, podejmowanych w powieści współczesnej. Na pierwsze miejsce wysunęli produkcję i maszynę. A tymczasem zapomnieli, że ludzie w dalszym ciągu się kochają, żenią, mają dzieci. Zapomnieli, że osobista sfera życia ludzkiego wcale się nie zmniejszyła. Wprost przeciwnie, rozszerzyła się. Może dlatego tak trudno o umiejętne ich wtopienie do powieści.

Firle słuchała uważnie, myślę jednak, że nie pojęła dobrze, o co mi chodzi. Mówiłem niejasno, próbując przede wszystkim sobie samemu wytłumaczyć te zagadnienia.

Środa, 29 kwietnia.

NAPRZECIWKO mnie przy stoliku siedzi Kopczański. Przyszedł do pokoju wprost od warsztatu. Ma osmolone ręce i twarz, siwe gęste włosy przykrywa naciśnięty głęboko fez z brązowego sukna.

— Musimy się spotkać u mnie w domu — mówi Kopczański. — Wtedy się nagadamy do woli. Mieszkam na ulicy Piwnej 53. Ja tu, w tej fabryce, pracuję trzy lata. Przedtem byłem w Pa-fa-Wagu we Wrocławiu. Prawdę mówiąc, to żałuję trochę, żem się tu przeniósł. Ale nie myślcie, że znowu bardzo żałuję. Tak trochę tylko. Tam człowiek miał więcej poważania, a tu ludzie nieufni. Teraz to już nawet nie tak. Ale na początku, gdym tylko przyszedł, to patrzyli na mnie spode łba. Bo ja, wiecie, to lubię kombinować, żeby zawsze coś ulepszyć, usprawnić w robocie. Jak nawet urlop dostanę, to i tak siedzę codziennie na fabryce. — Kopczański śmieje się. — Nie mogę bez tej fabryki wytrzymać. Przykrzy mi się bez roboty. Taki już jestem.

Klub racjonalizatorów, którego przewodniczącym jest Kopczański, liczy 50 osób.

— Najwięcej pomysłów — ciągnie Kopczański, paląc z upodobaniem papierosa — złożył Maciarek. A muszę wam powiedzieć, że jak go pierwszy raz namawiałem do tego, to słuchać nie chciał, a raz to rzucił się na mnie z młotkiem, bośmy robili razem przy jednym warsztacie. Poprosiłem wtedy, żeby mnie przenieśli. Widać nie byłem najgorszy, bo właśnie po przeniesieniu się na inny oddział, Maciarek zaczął mnie odwiedzać. Z początku nieśmiało, z czasem tak się zbliżył, że nie było dnia, w którym by ze mną nie rozmawiał. Pytał o różne rzeczy, radził się. Teraz ma on już za sobą 50 pomysłów racjonalizatorskich. Kiedyś powiedział do mnie: „Ja muszę być pierwszy". Rozkręciłem go, trza ludzi zachęcać. Ale teraz, kiedy już wiem, że się z tej drogi nie cofnie, to ja mu pokażę, gdzie raki zimują. Nie dam się przegonić.

Czwartek, 21 maja.

W MŁODZIEZOWYM Domu Kultury odbywał się festiwal zespołów świetlicowych. Od godziny czwartej po południu do dziesiątej wieczorem przesunął się przez scenę niejeden korowód taneczny, śpiewał niejeden chór, grała niejedna orkiestra. Między przerwami recytatorzy - amatorzy deklamowali wiersze. Trzeba powiedzieć, że te recytacje wypadły najsłabiej. Najwyższy poziom osiągnęły chóry. Jakiś człowiek siedzący obok mnie mówił: „Widzisz pan, powiadają, że Polacy nie umieją śpiewać. Cholerę w bok! Słyszałeś pan, jak ciągnęli?"

Tańce wypadły średnio. Z orkiestr najlepiej popisał się zespół Łódzkiej Fabryki Maszyn. Bardzo pragnąłem, żeby właśnie oni wypadli najciekawiej. Aż mnie ponosiło, gdy po odsłonięciu kurtyny ujrzałem ich na scenie. Grali z werwą i bezbłędnie. Oklaskiwano ich rzęsiście. Dyrektor Ratajczyk siedział podminowany i przejęty.

Po zejściu ze sceny winszowałem grającym. Nie mogłem wytrzymać, żeby do nich nie podejść. Człowiek uważa ten zespół już nieiako za swój, toteż nic dziwnego, że budzi się ambicja, by był on pierwszy.

Na sali widziałem również Głowackiego. Wpadł jak burza, kręcił się, nie mógł sobie miejsca znaleźć. Potem zniknął mi z oczu.

Jan Koprowski

*) Patrz — początek w numerze poprzednim „Pierwszy tydzień w fabryce".

STANISŁAW PIOTROWSKI

O pełny udział w walce*)

RUCH świetlicowy nie jest czymś odrębnym, wyizolowanym. Jest on częścią składową całokształtu frontu ideologicznego walki o nową wieś, o nowego człowieka, świadomego współtwórcę nowych dziejów narodu polskiego. Doniosłość i specjalne znaczenie ruchu świetlicowego polega na jego masowości, na możliwościach oddziaływania politycznego na szerokie rzesze chłopskie. Znaczenie ruchu świetlicowego, jego form oświatowych i artystycznych polega na tym, że oddziaływają na odbiorcę masowego, a jednocześnie stwarzają pełne warunki do wzrastania i współtworzenia kultury przez członków zespołu, jako odtwórców, wykonawców, realizatorów. W takim rozumieniu ruch świetlicowy jest wielką szkołą, wychowującą aktyw gromadzki, jest bazą oddziaływania ideowego na całą gromadę oraz realnym wkładem do tworzącej się nowej kultury socjalistycznej.

*

Co winno być podstawą oceny pracy świetlicy, podstawą zakwalifikowania jej do dobrze lub źle pracujących?

W tym zakresie istnieją nieporozumienia. Niektórzy aktywiści, działacze kulturalno - oświatowi zbyt formalnie zewnętrznie patrzą na tę sprawę. Wystarczy dla nich frekwencja znośna, oraz stwierdzenie, że jakiś zespół, najczęściej taneczny, przygotował jakąś imprezę, aby orzec, że świetlica dobrze pracuje, bo jest czynna. Bezwzględnie zjawisko takie jest dodatnie, jest jednym z elementów oceny, ale nie wystarczające. Aby imprezę zakwalifikować do osiągnięć dobrych, należy ją przeanalizować od strony jej *funkcji społecznej*, o ile przyczyniła się do wzrostu świadomości społecznej środowiska, o ile miała treść bojową ofensywną, słuszną politycznie, o ile zaspokoiła klasowe potrzeby kulturalne, o ile przyczyniła się do wzmocnienia walki o nowe życie na wsi.

Zatem działalność kulturalno-oświatowa, praca świetlic wtedy jest dobra, kiedy weszła w środowisko, zapewniła sobie szeroki udział mieszkańców, wytworzyła kolektyw aktywistów, realizuje przemyślane politycznie plany pracy, w wyniku czego przyczyniła się decydująco do wzrostu świadomości społecznej środowiska, promieniując jednocześnie na sąsiednie gromady.

Dobra świetlica, to placówka o wyraźnym obliczu socjalistycznym, to placówka, w której nie ma miejsca na bigoterię, na dewocję, na religianctwo, na zabobon, na penetrację i podrzucanie wrogiej propagandy, gotowane w kuchni watykańskiej i amerykańskiego imperializmu.

Dobra świetlica, to placówka, która umie rozbudzić zainteresowanie kulturalne i umie je zaspokajać zdrowym pokarmem kulturalnym, zdrową książką, zdrowym przedstawieniem, zdrowym śpiewem i zdrową rozrywką. W wyniku jej pracy wyrasta człowiek twórczy, rewolucyjny, miłujący i realizujący zadania postępu na naszej wsi.

Przy ocenie pracy świetlic gminnych należy dodać jeszcze jedno wymaganie, a mianowicie, jak one wywiązują się ze swych obowiązków pomagania wszystkim świetlicom gromadzkim znajdującym się na terenie ich gminy.

Przy takim postawieniu zagadnienia i przy takich wymaganiach oceny świetlic wiejskich stwierdzić musimy, że odcinek tej pracy mimo bezsprzecznych osiągnięć, obserwowanej poprawy, posiada jeszcze dużo braków, ma jeszcze w masie swojej dużo do przezwyciężenia, aby świetlice stały się prawdziwymi kuźniami masowego wychowywania mocnych charakterów, ludzi ustroju socjalistycznego, stojących mocno na niewzruszonych podstawach sojuszu robotniczo - chłopskiego, patrjotyzmu ludowego i przyjaźni między narodami, przyjaźni braterskiej do Wielkiego Związku Radzieckiego.

*

Całość prac świetlicowych daje się ująć w trzy grupy, a mianowicie: prace oświatowe, artystyczne i propagandy masowej.

Prace oświatowe świetlic prowadzone są w zasadzie w ramach zespołów: czytelniczych, samokształceniowych, Wszechnicy Radiowej, kursów języka rosyjskiego i akcji odczytowej. Wśród samokształceniowych należy wyodrębnić zespoły oświaty rolniczej. Ilość zespołów oświatowych na wsi jest duża. Według orientacyjnych danych, przekracza ona liczbę 11 tysięcy. Jednak w porównaniu do ilości świetlic wiejskich jest ona zbyt mała, bo przeciętnie nie wypada nawet jeden zespół na każdą świetlicę. Jeśli weźmiemy pod uwagę i ten fakt, że przodujące świetlice mają ich po kilka, o czym mówiły przytoczone przykłady, to stwierdzić należy, że jeszcze dużo świetlic ma zasadniczą lukę programową, że na tym odcinku zaniedbania i braki są bardzo duże.

Wśród zespołów samokształceniowych najwięcej jest rolniczych i to dobrze, ale ilość ta nie wystarcza. Winny one być w każdej świetlicy. Na ich bazie winien następować jeszcze większy udział w pracy świetlicowej pracowników powszechniania kultury rolnej, młodzieży i nauczycielstwa szkół rolniczych.

Zbyt mało jest nadal zespołów światopoglądowych.

Akcja odczytowa nadal przebiega dość przypadkowo, bez przemyślanego planu świetlicy. Opiera się ona raczej na obsługiwaniu przez TWP, TPP-R, przez władze powiatowe, ale nie w oparciu o wspólnie przemyślany plan świetlicy. Dlatego zdarzają się wypadki przypadkowych tematów, przypadkowych, nie przygotowanych odczytów. Bardzo rzadko są one uatrakcyjnione, zarówno od strony formy, jak i pomocy ilustracyjnej.

Należy przyznać, że wśród zespołów oświatowych najlepiej rozwijają się zespoły czytelnicze, choć nadal jest ich zbyt mało w stosunku do możliwości środowiska wiejskiego, ilością swoją nawet nie dorównują ilości świetlic.

Obecnie zadaniem głównym jest jeszcze większe spopularyzowanie książki, przeniesienie jej budującej treści do praktyki dnia codziennego. Wykorzystanie jej siły wychowawczej.

Drugą grupą zespołu form kulturalno - oświatowych, przez jakie działa świetlica, są zespoły artystyczne, w skład których wchodzą zespoły teatralne, muzyczne, taneczne, plastyczne i rozrywkowe. Odgrywają one dużą rolę w oddziaływaniu kulturalno - wychowawczym na środowisko. Dzięki swej atrakcyjności przyczyniają się do ożywienia świetlicy, do zapewnienia jej coraz większej frekwencji całego społeczeństwa, a przede wszystkim młodzieży.

Ta forma pracy ma największe osiągnięcia na terenie świetlic. Mówi o tym największa liczebność tych zespołów. Prawie każda świetlica wiejska posiada zespół artystyczny, ale są takie, które mają zorganizowane zespoły we wszystkich formach tej grupy. Według orientacyjnych danych kilkanaście milionów widzów uczestniczyło na imprezach zespołów twórczości amatorskiej. Zespoły te są dużą bazą oddziaływania ideologicznego i kulturalnego na widzów, odbiorców oraz wychowawczego w stosunku do członków tych zespołów. Jak np. kierownik świetlicy gminnej, ob. Józwenko Stanisław, ze wsi produkcyjnej Siedlnice pow. Wschowa w swym sprawozdaniu wyjaśnia, w jaki sposób udało mu się przekonać wahającego się chłopa, aby wstąpił do spółdzielni produkcyjnej. Zespół teatralny świetlicy wystawił sztukę pt. „Zaprzęgaj konia". Sztuka została przede wszystkim wspólnie przeczytana i przedyskutowana. Rolę wahającego się średniaka przydzielono chłopu, który przeżywał podobny konflikt Rola, którą grał w sztuce, przekonała go ostatecznie i wahający się średniak przystąpił do spółdzielni produkcyjnej wraz z trzema braćmi i najbliższymi sąsiadami.

Oceniając ogólnie ruch amatorski na wsi, należy stwierdzić, że ma za sobą poważne osiągnięcia, jeśli chodzi o jego masowość, jednak nadal nie umiał do reszty przezwyciężyć trudności ideologicznych, repertuarowych trudności w dopracowywaniu się coraz wyższego poziomu artystycznego, trudności w stałym utrzymywaniu zespołów i zapewnieniu im ciągłej planowej pracy.

Zespoły te nadal odczuwają brak dostatecznej pomocy fachowej, a specjalnie zespoły muzyczne. Nie zostały do tej pory należycie zorganizowane zespoły plastyczne, a specjalnie twórcy sztuki ludowej nie znaleźli należytego oparcia o domy kultury i świetlice gminne i nie wnieśli jeszcze swego wkładu, swych uzdolnień artystycznych do wnętrza placówek kultury i nie nadali im charakteru plastycznego regionalnego. I Narada Twórców sztuki Ludowej, która się odbyła w tym roku, postawiła wyraźnie te zagadnienia, ale realizacja ich jeszcze nie została przeprowadzona. Tak samo niewiele zespołów pokusiło się o wprowadzenie do repertuaru własnej twórczości znanej na wsi formy przyśpiewek okolicznościowych, opartych o znane ludowe melodie.

Najliczniejszą grupą są zespoły teatralne. W pracy ich obserwowaliśmy przejściowo zjawisko ucieczki do tematów historycznych lub szukanie wątpliwej jakości repertuaru neutralnego, jeśli taki istnieje. Świadczy to o jeszcze niedostatecznej pracy politycznej wśród członków zespołów, świadczy to o braku bojowości świetlicy. Przyznać należy, że występują jeszcze trudności w zdobyciu odpowiedniego repertuaru. Repertuar jaki istnieje na rynku księgarskim, ma jeszcze luki tematyczne. Brak jest ciętej satyry, bojowej komedii z życia wiejskiego, brak jest sztuk, których akcja toczyłaby się w spółdzielni produkcyjnej. Nie mniej istnieje wśród repertuaru wydanego realna możliwość, aby zapewnić właściwe zaopatrzenie się zespołów.

(Dokończenie w następnym numerze)

*) Obszerne fragmenty z referatu wiceministra Piotrowskiego na Krajowej Naradzie Kierowników Świetlic Wiejskich.

ANIELA DASZEWSKA

NA ZIEMI LUBUSKIEJ

NOWE Kramsko to duża wieś w gminie Babimost na Ziemi Lubuskiej, opodal dawnej granicy. Nowe Kramsko robi wrażenie małego miasteczka. Ma ładne, niezniszczone domy i około 1500 mieszkańców.

Zaledwie front przetoczył się na zachód, Babimojskie wysłało do Kuratorium w Poznaniu trzech delegatów - chłopów, Lucjana Brudło, Tomasza Kociołka i Pawła Budzycha z prośbą o utworzenie polskich szkół. Już w marcu 1945 r. przysłani tu dwaj nauczyciele, Kędzierski i Sauter, uruchomili szkoły polskie w Babimoście i Kramsku. Z kolei organizowali szkolnictwo w sąsiednich wsiach i kursy repolonizacyjne, których w samym tylko Kramsku i najbliższych wsiach było 15 z 458 uczestnikami. Należy podziwiać w tych trudnych warunkach tempo pracy, zapał i patriotyzm tych, którzy tu mieszkali od pradziadów i tych, którzy przybyli budować i organizować nowe życie.

W Babimojszczyźnie, tak jak w całym poznańskim, silne były wpływy kościoła, kapitalistyczny wyzysk przybiera tu specyficzne formy.

Rozwarstwienie chłopstwa w Kramsku wzrastało przez bogacenie się kułactwa na parcelacjach folwarków. Od 1909 r. nie ma tu majątku obszarniczego. Wystarczy posłyszeć dziś jeszcze powszechne w potocznej mowie określenie „mali ludzie", aby stanąć oko w oko z pozostałością feudalnego wyzysku społecznego. Tę formę wyzysku przejęli kułacy od obszarnictwa wraz z miejscem w hierarchii społecznej.

„Mali ludzie"... A więc wystarczyło, aby gospodarz zapukał rano do okna: — „Hej Agnieszko! Niechno Agnieszka przyjdzie dziś do pielenia buraków!" I Agnieszka szła bez szemrania, jak przystało na tutejszych „małych", wychowanych w moralnych rygorach kościoła. Przecież „za darmo" miała od gospodarza tzw. „ślad" (zagon) pod kartofle. To obowiązuje do wdzięczności. Za „ślad" kupował kułak darmowego robotnika. Za zagon odpracować trzeba było po 60 — 70 dni w roku. Gospodarz dodawał czasem trochę mleka albo miarkę grochu czy zboża. Zależało to od jego „honoru".

— Co robić? Już 70 dniówek odpracowałam za „ślad" i nic mi nie dał... — pytali bezrolni Kramska przybyłego na te ziemie nauczyciela.

— Co? nie robić wcale.

— Ale jak żyć bez „śladu" pod kartofle?

— Iść do pracy do PGR do Kolesina i Wojnowa, do fabryki w Sulechowie, Świebodzinie, Nowej Soli, Zielonej Górze.

W 1947 roku Gminna Rada w Babimoście z pierwszym przewodniczącym i organizatorem Rady, kierownikiem szkoły Sauterem, podjęła ważną dla biedniaków i bezrolnych uchwałę: zmianę „odrobków" na „rozrachunki". Gminna Rada Narodowa w Babimoście uchwałą tą o rok wyprzedziła dekret państwowy o pomocy sąsiedzkiej, czym chlubią się radni, pokazując akta gminne z 1947 r.

Kiedy padł projekt tej uchwały na zebraniu GRN kułacy, z których składała się rada w 45 proc., żywo zaoponowali.

— Jakże to? Jeszcze tego u nas nie było... „Mały człowiek" woli „ślad" pod kartofle...

Ale kułak stracił już możność decydowania o życiu gromady.

Ziemie kościelne w Kramsku przejęła władza ludowa, aby na korzystnych warunkach wydzierżawić je bezrolnym. Ci długo zastanawiali się, czy aby nie jest grzechem wziąć ziemię księdza. Wahali się, radzili, pełni konfliktów.

Stary drogomistrz, już trochę głuchy, trochę ślepy, Nitschke, dzierżawił od księdza 20 arów. Ale co teraz robić? — pytał skłopotany nauczyciela. — Czy można wziąć ziemię kościelną i nie zapłacić księdzu? Mówia, że to ciężki grzech... Ale wziął i dobrze teraz rozumie dlaczego.

*

W walce o nowe życie w Babimojszczyźnie bierze udział kramski Dom Kultury, jeden z bardziej żywotnych w Polsce. Zajrzyjmy do niego wieczorem, najlepiej w sobotę. Dwa pokoje od hallu zapchane młodzieżą. Chłopców około 100. Jedna grupa ćwiczy śpiew pod kierunkiem instruktora muzycznego, kramszczanina, Józefa Stacheckiego. W niszy okiennej odbywa się prowizoryczne zebranie dwóch drużyn piłki nożnej (jest ich tu aż 4) a do LZS należy 98 chłopców i 15 dziewcząt. W drugim pokoju chłopcy słuchają radia. Kramski LZS otrzymał je od poznańskiej „Warty" jako nagrodę.

Około 50 dziewcząt jest w tej chwili w sali po przeciwnej stronie hallu na kursie kroju i szycia, specjalnie dla nich zorganizowanym przez Dom Kultury. Już drugi trzymiesięczny kurs kroju i szycia cieszy się tu niebywałym powodzeniem i frekwencją. Dziewczyny przyjeżdżają i przychodzą nie tylko z Kramska, ale i ze wsi oddalonych o parę kilometrów. Niektóre traktują naukę jako przygotowanie do zawodu i gorąco indagowały mnie, czy w Planie 6-letnim nie powstanie w Kramsku filia jakiejś fabryki, najlepiej byłoby „odzieżówki", aby mogły pracować na miejscu.

Na piętrze mieści się biblioteka, istniejąca od stycznia 1953 roku, trzecia, z kolei w Kramsku po szkolnej i gminnej. Liczy już 2000 tomów i 50-osobowy zespół czytelniczy. W ostatnim konkursie czytelniczym wzięło udział 25 dziewcząt zespołu, które w nim przeważają. Najpoczytniejszą w tej chwili książką w kołach starszych dziewcząt w Kramsku jest „Ditta" Nexö.

*

Dom Kultury w Kramsku prowadzi zespół nauczycieli. Kierownik szkoły Sauter wychował sobie młodego zastępcę, zdolnego nauczyciela Ludwika Lange, kierownika świetlicowego w Domu Kultury. Babka Ludwika Lange, Piwocka, była rodowitą Polk ze Skwierzyny. Matka, Tomiakówna z Kramska. Bracia Lange chodzili do szkoły polskiej. Wobec ucisku mniejszości w Rzeszy było to wyraźne wyznanie polskiej przynależności narodowej.

Ludwik Lange zaczął pracować w Domu Kultury latem 1952 roku. W pierwszym miesiącu pracy zorganizował dziewczęcy zespół tańców regionalnych, który brał udział w dożynkach krakowskich. Z kolei zorganizował zespół dramatyczny. Po miesiącach ciężkiej pracy, 11 stycznia 1953 r., dramatyczny zespół Domu Kultury wystawił w Kramsku „Moralność Pani Dulskiej". Grano ją w wielkiej świetlicy gromadzkiej, staraniem obywateli Kramska przerobionej ze starego baraku. 600 widzów, mimo źle ogrzanej sali, entuzjastycznie oklaskiwało aktorów i przedstawienie, które wzbudziło duże uznanie i zainteresowanie pracą Domu Kultury. Wysiłek reżysera pozwolił zabłysnąć rodzimym talentom. Zespół zachęcony powodzeniem, wystawił sztukę w spółdzielni produkcyjnej Podlegórz, w Kargowej, a nawet w mieście powiatowym Sulechowie. W tej chwili jest ona żelazną pozycją Domu Kultury w objazdach po PGR-ach, spółdzielniach i gromadach powiatu. Z kolei zespół przygotowuje się do wystawienia „Matki" Gorkiego.

Ostatnio Dom Kultury w Kramsku podjął bardzo ambitne przedsięwzięcie: Chodzi o zorganizowanie, z okazji zbliżającego się Festiwalu, 60-osobowego Zespołu Pieśni i Tańca. Kierownicy Domu Kultury, Sauter, Lange oraz instruktor muzyczny Stachecki chcą Polsce pokazać stare ludowe tańce babimojszczyzny i zaśpiewać przepiękne stare pieśni. Nie tylko te popularne, które tak chętnie śpiewa tu młodzież przy lada okazji, jak: *„Na kramskim kolisku* (stawie) *pływają łabuńdzie.."* *„Kramskie dziewki rade śpią"*, *„Kramskie zegary"*, czy *„Na wójtowej roli"*, ale i te najstarsze, które ich matki i babki śpiewają jeszcze niekiedy na tradycyjnych „piórnicach" (darcie pierza). Kierownik Sauter pracuje tu już 8 lat, zebrał ich około 80, aby je wydać i powołać znów do pełnego życia, wzbogacić polską, ludową, narodową, socjalistyczną kulturę.

Znając dobrze tutejszy folklor i pieśni, Sauter przygotowuje również na Festiwal rodzaj ludowego wodewilu z udramatyzowanym wątkiem miłosnym i społecznym, ilustrowanym ludowymi pieśniami. A więc konflikt stary a jednak w konserwatywnych, kułackich środowiskach chłopskich jeszcze aktualny: — miłość dwojga młodych i przeszkody rodziców z powodu nierówności majątkowych. Wątek społeczny to walka około organizowanej we wsi spółdzielni produkcyjnej. Zwycięża miłość i spółdzielnia. Młodzi pobierają się i wstępują do spółdzielni produkcyjnej, czym przyczyniają się do jej zwycięstwa. Akcja ilustrowana starą i nową piosenką. Wśród pieśni spotykamy już nowe motywy, nowe treści śpiewane na starą „nutę". We wstępie do pieśni „Jeszcze kozieł" słyszymy:

Jeszcze kułak ziemię orze,
jeszcze pełno ma w komorze,
jeszcze hardy jest, taj dana!
Lecz kułaka my zmożemy,
gdy spółdzielnię założymy,
czas już na to, czas. Taj dana!
Wspólna radość, wspólna praca,
sobkostwo się nie opłaca,
razem iść już czas, taj dana!

Kramsko stoi przed wielką ofensywą sztuki na stare życie. A kramszczanie umieją pracować. Można przypuszczać, że wspaniała będzie ich spółdzielnia w przyszłości i przodująca. Będą jej strzec starzy patrioci, bojownicy sprawy ludu i Polski, którzy tyle lat cierpieli za nią i gineli w faszystowskich, hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Aniela Daszewska

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI

MIASTECZKO, KTÓRE ZOBACZYŁO ŚWIT...

KIEDYM pytał, jaka budowla najpierw została odbudowana w Brzegu, (gdzie zniszczenia sięgały 70 proc.) odpowiedziano mi, że... kościół. Ze składek kupców i sklepikarzy; pieniędzy starczyło jeszcze na motocykl dla bratanka księdza proboszcza. W tym też kościele miał się odbyć skomplikowany cud, ale odbył się tylko częściowo. Mianowicie w okresie pierwszych wyborów sypały się niewiadomo skąd peeselowskie ulotki na głowy wiernych. Druga część cudu, pana mikołajczykowe zwycięstwo wyborcze, do skutku, jak wiadomo nie doszło.

Jakieś ważniejsze wydarzenie sprzed kilku lat? Prezesem PSS został niejaki Osucha, który mianował swoim zastępcą Klitę. Historia handlu nie zna podobnego wypadku. Prawie wszystkie towary poszły na czarny rynek, a co uczciwszy pracownik PSS... na grzybki.

Krótka stosunkowo historia miasteczek na Ziemiach Odzyskanych jest jednak niezwykle pouczająca. Wnikliwy obserwator dostrzeże w niej ogromną drogę, jaką przeszliśmy od burzliwego roku 1945. Tutaj też jaśniej pokazuje się zdradzieckie oblicze rodzimej burżuazji, która na ziemi dopiero zaludnianej usiłowała wszelkimi sposobami zbudować dla swoich interesów okopy Św. Trójcy.

*

W pierwszych dwu latach rej wodziła śmietanka miasta, składająca się z rozmaitego rodzaju przedstawicieli średniej burżuazji, tzw. wolnych zawodów i inteligencji. Młodzież, jak Pan Bóg przykazał, należała do rozmaitych stowarzyszeń katolickich. ZWM wykluwał się dopiero na terenie zakładów przemysłowych.

Przy ulicy Rydla, obecnie Dzierżyńskiego, pracowała w „mikołajczykowskim" okresie jedyna biblioteka. Oczywiście prywatna. Wypożyczano tam „arcydzieła" Courts Mahlerowej, Kossak Szczuckiej, Antoniego Marczyńskiego, sensacje kryminalne Nasielskiego, nie obyło się rzecz prosta bez Zarzyckiej i Staśki. Bardziej zaufani, przeważnie „ludowcy" z PSL, otrzymywali do specjalnego kontemplowania pisma Piłsudskiego.

Oczywiście, że i ta prywatna biblioteka, kolportująca w książkach największą zarazę i nocne przy radiach posiedzenia „rodaków z PSL" była to polityczna robota, swoista organizacja kultury, obliczona na potrzeby odrodzonej na pewien czas burżuazji, pilnie nadsłuchującej rozkazów jej mocodawców z Zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych. I korupcja w aparacie handlowym i ambona w służbie burżuazji, pomalowanej na zielono.

Przewodniczący MRN powiada półżartem: — Wyłom w zwartym froncie „bogoojczyźnianych" nastrojów uczyniła błękitna Odra, kiedy zagroziła wylewem. Znaczna część inteligencji wyszła wówczas przed miasto, wzięła się do łopat. Roboty nad Odrą, akcja odgruzowywania miasteczka, były to pierwsze wspólne zebrania inteligencji z rosnącą w siłę klasą robotniczą — bo wraz z „Trzylatką" ruszyły do pracy wszystkie zakłady przemysłowe w Brzegu — odbudowali je nowi mieszkańcy miasta. Powstał patriotyczny nastrój wokół miasteczka i jego potrzeb, ton w mieście już

zdecydowanie zaczęli nadawać *nowi* mieszkańcy — klasa robotnicza, a znaczna część inteligencji, głównie ludowego pochodzenia, oddzieliła się od burżuazji, znalazła twórcze zadania społeczne. I to był sukces polityki, prowadzonej przez czynniki partyjne miasteczka.

*

Miasteczko liczy 15 tysięcy mieszkańców, a Miejska Biblioteka Publiczna „szczyci się" zaledwie 700 czytelnikami. Dlaczego? Bo przyzakładowe księgozbiory stanowią dla Biblioteki poważną konkurencję. Tędy, przez odbudowywane fabryki przepływał główny nurt przemian kulturalnych.

Przejrzałem w Publicznej prawie wszystkie katalogi, przewertowałem 8 tys. książkowych pozycji. Włosy podnoszą się na głowie. Obok najwybitniejszych pereł światowej literatury księgozbiór miejski wciąż jeszcze roi się od przygód Sherlocka Holmesa i Arsena Lupina, znalazłem żywoty świętych, szmiry w rodzaju „Hrabia wraca na ring" Lucjana Cary. Są to pozostałości po dawnej, prywatnej bibliotecze z czasów, kiedy Mikołajczyk przy pomocy adwokatów i sklepikarzy ze „stronnictwa dla wszystkich" usiłował rozbroić rewolucyjne nastroje podstawowej masy mieszkańców Brzegu. I ta szmira odsuwa młodych robotników, ludową część inteligencji od Publicznej Biblioteki. Ale... jedna tylko Biblioteka Domu Kultury Nadodrzańskich Zakładów Garbarskich (4 tys. starannie dobranych tomów) skupia na stałe 600 czytelników, przeważnie robotniczych.

*

Jakiś czas idziemy razem. Droga prowadzi do Żłobizny, gdzie mieszka robotnica Genowefa Hucula. Ta bardzo pogodna, wesoła dziewczyna mówi przekornie:

— Co mnie obchodzi ojcowe 6 ha, kiedy w fabryce mam tysiąc złotych za swoje 180 procent normy i życie, przede wszystkim życie inne, bogatsze niż w zamkniętej rodzinie chłopskiej.

Genowefa odchodzi, ginie za łagodnym wzgórzem, widać ją jeszcze jakiś czas w dolinie, macha stamtąd przyjaźnie dłonią ku nam.

— To najlepsza chyba aktywistka z ZMP — mówi Eleonora Neuhof. Jest coś wzruszającego w jej opowieści o koleżance. Genowefa kocha bardzo rodziców i dlatego właśnie pierwsza zaczęła ich agitować za spółdzielczą gospodarką, ona też była pierwszym orędownikiem związania się zespołu fabrycznego z powiatem w ramach ruchu łączności. Fragmenty „Cichego Donu", gdzie występowały obie, uczyniły na chłopach wielkie wrażenie. Rodzice Genowefy byli nie tylko dumni z córki, pierwsi wstąpili do Komitetu Założycielskiego.

Żegna mnie i Eleonora. Jeszcze tylko pokazała mi swoją rodzinną śląską wieś — Groszowice, leżące tuż nad błękitniejącą w oddali Odrą.

*

Zmierzch. Idę wolno w stronę Rataj, niewielkiej wioski odległej o jakieś 2 — 3 km od Brzegu. We wsi ruch, pełno ludzi na ulicach.

— I miał ci takiego gołąbka, wszystko co chciał, to ten gołąbek zrobił na złość kapitalistom...

Domyśliłem się, że chłopi komentują oglądany przed chwilą włoski film „Cud w Mediolanie".

— I pojechali na księżyc, bo tam lepiej niż na ziemi.

— Toś nic nie zrozumiał. Przecież ten jak tam, no ten co film zmajstrował, chciał powiedzieć, że kapitaliści myślą dać ludziom pracy miejsce na księżycu, bo się ich na ziemi boją. Zobaczysz, co komuniści powiedzą we Włoszech podczas wyborów... Zobaczysz!

Tadeusz Śliwiński

HENRYK WORCELL

Rys. Stefan Szmidt

W „REPUBLICE DZIEWANOWSKIEJ"

(Dzieje III etapu Konkursu Czytelniczego, opisane wiernie w gromadzie Zdarzyce Dolne – część czwarta)

W STYCZNIU i lutym mieliśmy w Powiatowym Zarządzie ZSCh dwie odprawy zespołów. Jak się okazało, Borek - Zdrój i mała spółdzielnia produkcyjna, Bukowiec, dzielnie współzawodniczą ze Zdarzycami Dolnymi. Dla kol. Balickiej i w ogóle dla powiatu, był to powód do radości i, rzecz jasna, ja też powinienem się był cieszyć, ale postanowiłem podciągnąć moje zagrożone zespoły.

Nie wszędzie konkurs rozwijał się pomyślnie. W Zdarzycach Górnych np. z końcem stycznia lista uczestników jeszcze nie była gotowa — trzeba było zbadać, co się tam dzieje. Poszedłem wprost do nauczycielki Jasińskiej, bo ona miała tam prowadzić konkurs. Staruszka chora na tarczycę, sucha, koścista, o usposobieniu gniewliwym, ale żywotna i dająca się lubić, wyjaśniła mi, że dopiero przed trzema dniami otrzymała książki konkursowe z Biblioteki Gminnej w Żelaznej Wodzie. Wprawdzie dawno je wybrała, ale nikt nie chciał przywieźć — ani sołtys Pietrycki, ani prezes ZSCh Modliński, ani leśniczy Gradek, chociaż często w gminie bywali.

— Widzi pan, i to się nazywa aktyw gromadzki — sierdziła się kierowniczka szkoły — sama muszę chodzić od domu do domu, a ja chyba mam dość roboty z czterema klasami. Lenistwo? Nie, oni umyślnie utrudniają. Podobno Modliński miał powiedzieć, że nie trzeba nam żadnego konkursu. No, ten przynajmniej sprawę jasno postawił, ale sołtys Pietrycki?... Tak, on był jeszcze możliwy przed trzema - czterema laty, ale od czasu jak zaczął porastać w futerka, to już nie przystępuj.

— Więc jakże, da sobie pani radę z tym konkursem?

— Muszę. Liczę na jakie trzydzieści wypowiedzi. Ludzie chcą czytać, tylko trzeba do nich podejść. Tu już robotnicy leśni, bracia Lasonie i Bednarczyk, obiecali mi pomóc.

— To świetnie, będę mógł Balicką telefonicznie uspokoić.

Idąc przez wieś, spotkałem leśniczego Gradka, który do dziś dnia uchodzi za aktywistę. Młody człowiek, zdolny, obrotny, ale... Ach, te oficerki, te pumpy, ta fryzura a la kakadu! Jest w nim coś gogusiowatego, przypomina wysztafirowanego

oficerka sanacyjnego. Znany jest ze swych skłonności do łagodzenia konfliktów klasowych, jakie w gromadzie wybuchają. Jako partyjny zdaje sobie sprawę, że takie łagodzenie i klajstrowanie wcale nie jest po linii partyjnej, toteż w wypadkach małej wagi chętnie do krytyki dopuszcza i sam krytykuje, natomiast gdy chodzi o sprawy poważne, których ujawnienie może doprowadzić do zmian personalnych wśród „aktywu", wtedy Gradek cały swój spryt wysila, by sprawę zatuszować, przy czym posługuje się argumentem: „każdy z nas ma coś na sumieniu". Znana to piosenka w Zdarzycach Górnych, śpiewa ją i prezes ZSCh Modliński, usłyszałem ją też w parę tygodni później z ust sołtysa Pietryckiego, kiedy ten wzburzony, niemal roztrzęsiony, zjawił się u mnie w domu. Ale o tym później.

Z Gradkiem nie rozmawiałem, wymieniliśmy tylko zdawkowe: „Cześć!" „Cześć!". Wracając do domu wstąpiłem do jednego z robotników leśnych, Mitręgi. Jest to młody, 34-letni Zabużanin, dawny robotnik tartaczny. Chociaż nie podlegał mojej gromadzie, wciągnąłem go do zespołu konkursowego. Rzecz zabawna, ten rozumny, myślący chłop w ogóle nie lubi czytać, a jeśli się go do tego zmusza, to już woli książki naukowe od powieści. Dałem mu Stalina *„O Wielkiej Wojnie Narodowej" i Łysenki „O sytuacji w biologii"* — byłem ciekaw, co mi o tych książkach powie, a prócz tego chciałem się dowiedzieć, jak stoją jego sprawy go-

spodarcze. A były dosyć zagmatwane. Mitręga od dłuższego czasu chorował na wrzód żołądka i żyjąc na diecie nie mógł już pracować w lesie ani obrabiać swego 3-hektarowego gospodarstwa, które jako zdemobilizowany żołnierz objął w 1947 r. Już wówczas budynki gospodarskie były w stanie opłakanym, a teraz rozłażą się zupełnie, grożąc zawaleniem. W lecie ub. roku Mitręga wniósł do PRN podanie o zrzeczenie się gospodarstwa, powołując się na zły stan zdrowia i walący się dom. Był pewny, że wkrótce przyjedzie jakaś komisja, stwierdzi faktyczny stan rzeczy i przeznaczy dom na rozbiórkę, ale stało się inaczej. Powtórzyła się historia podobna do tej z Borutą i sołtysem Grubym w Zdarzycach Dolnych. Wiosną ub. roku Mitręga wypomniał Pietryckiemu na zebraniu, że za wiele ziemi dzierżawi i że do tych dzierżaw większe prawa mają robotnicy leśni — bracia Lasonie, Bednarczyk, Bryja. Prócz tego, ale już nieoficjalnie, poza zebraniem, za bardzo się interesował ciemnymi sprawami niejakiego Topolskiego, przyjaciela sołtysa, jego krajana z powiatu sieradzkiego. Przeciwko Mitrędze podniesiono krzyk, że to „ptak co kala własne gniazdo", że robi zamęt we wsi, a co do jego podania o zrzeczenie się gospodarstwa, to już tam Pietrycki i Modliński wiedzieli, co szepnąć na ucho przewodniczącemu GRN.

Listopad Mitręga spędził w Krynicy, w sanatorium „Lwigród", w domu przez ten czas gospodarowała żona z 12-letnią córką. Gdy wrócił z sanatorium, zaczął znów jeździć do powiatu w swojej sprawie i ciągle bezskutecznie. A dom jego rzeczywiście był w stanie opłakanym. Rodzina gnieździła się w izbie kuchennej o wzdętym i popękanym suficie, z nasiąkłymi wilgocią ścianami.

— Ja już sam nie wiem — rzekł do mnie, gdyśmy się przywitali — czy się śmiać z tego wszystkiego, czy kląć. Przecież tu już nie można mieszkać.

— A z komisji sanitarnej był ktoś?

— Był Olejnik, obejrzał, napisał meldunek do Powiatowej Rady i znowu nic. Wszystko Pietrycki robi, on w powiecie gada, że ja dom zdewastowałem i że będę za to odpowiadał. Dobrze, będę odpowiadał, ale niech przyjedzie komisja i niech zobaczy za co ja mam odpowiadać? Napisałem do województwa, ale wiesz jak to idzie: województwo prześle pismo do powiatu, powiat do Szyszki, Szyszka do Pietryckiego — i tak można w kółko bez końca. Czemuż to u was Cistakowa zrzekła się gospodarstwa i przeszła na inne, Justek też oddał trzy hektary a wziął je w dzierżawę, Kajmer i Mąciło tak samo. Ale idź i próbuj ich ruszyć, to na wszystko znajdą wytłumaczenie.

Nagle zaśmiał się jakoś dziwacznie, chichotliwie i usiadł przy stole. — Wiesz, co ja nieraz myślę? Myślę sobie tak: co by to było, gdyby nasz powiat był taką osobną republiką, wiesz taką „Republiką Dziewanowską". No, jak ty myślisz, co by się więcej stało?

Nim znalazłem odpowiedź, Mitręga już mnie uprzedził.

— Ot, co by było, to samo co w Rosji w siedemnastym, osiemnastym roku — rewolucja!

Wstał z krzesła i zamaszyście przeszedł się po izbie.

— Kurdebalans, jabym sam zebrał robotników leśnych i dawaj! Na Pietryckiego — Modlińskiego! — Nagle spoważniał, coś pomyślał. — No nie, to takie gadanie... Ale faktycznie jakoś nie wszystko tak idzie jak trzeba. Nasz powiat staje się socjalistyczny i spółdzielnie i POM i tak dalej, i ludzie już poszli bardzo naprzód, ale do władzy terenowej... ja wiem? Dopchali się tacy jacyś trockiści i szkodzą w aparacie, a my nic. Tak nie powinno być.

Jak się w kilka tygodni później okazało, Mitręga nie miał racji, siły reakcyjne w powiecie nie były aż tak wielkie, by mogły wywierać jakiś decydujący wpływ na rady narodowe, ich szkodliwa działalność była natury kreciej, ograniczała się do dywersji utajonej i została w końcu przez , miejscowe dziewanowskie władze unieszkodliwiona.

Wypowiedź Mitręgi powtarzam jednak jako również niepokojący objaw dla niedawno minionego okresu „Republiki Dziewanowskiej".

Ostatecznie Mitręga, kiedy się wygadał i wygadał z anarchistycznych fantazji, całkiem do rzeczy wysunął pomysł artykułu do gazety.

— Bo tu, na zebraniach, nie dają dojść do głosu. Spróbuję coś ruszyć, to mnie zaraz Modliński, albo Gradek stłumią: „kiedy indziej, kiedy indziej będziecie gadać! Teraz mamy ważniejsze sprawy, podatek, skup zboża i tak dalej, nie róbcie zamieszania, bo was wyprosimy. Co wy, chcecie zebranie rozbić, reakcyjną robotę robicie? Wiecie, co was za to czeka?! No i gadaj z nimi! Ludzie słuchają i tracą pojęcie o co idzie i kto ma słuszność. Ale jakby tak wszystko opi-

sać w gazecie, to by już tego nie mogli zafarbować. A tu jest o co zahaczyć, wystarczyłaby sprawa Topolskiego.

Kto to jest Topolski? Wiadomo mi, że miał gospodarstwo w powiecie namysławskim i był skazany na trzy lata więzienia za posiadanie broni palnej, ale amnestia zwolniła go po odbyciu półtorarocznej kary. Drugie gospodarstwo miał pod Jelenią i stamtąd właśnie, ściągnięty przez swego krajana, Pietryckiego, przybył do Zdarzyc Górnych. Co go łączyło z Pietryckim? Czy tylko dawne sąsiedzkie współżycie? Ejże! Tu, w Zdarzycach Górnych, miał już przygotowane gospodarstwo po niejakim Nieteckim, osiadł na nim, wyszabrował co się dało, sprzedał plony oraz dwie krowy i konia, które mu Pietrycki za wiedzą GRN i przewodniczącego Szyszki przydzielił. Awanturnik, aferzysta, pijak, stracił wszystko i wtedy znów Pietrycki pośpieszył z pomocą, przydzielił mu drugie gospodarstwo, po Fiutku, z koniem i krową. Ale i tu Topolski konia sprzedał, siano na pniu także, a za uzyskaną przy poparciu prezesa ZSCh Modlińskiego pożyczkę w wysokości 2.500 zł., kupił sobie motocykl. Ponieważ jednak bez konia trudno gospodarować, Pietrycki w porozumieniu z Szyszką przydzielił mu licencjowanego ogiera, który miał obsługiwać klacze całej gminy, a którym Topolski obrabiał pole nie tylko swoje ale i Pietryckiego. To są fakty, na których można się oprzeć i które można podać do prasy.

— I co jeszcze, obywatelu Mitręgo?

Sprawa domu ludowego. Duży, piękny dom o 24 ubikacjach zupełnie niszczeje, bo dach dziurawy, a ob. Musiatek, który tam mieszka z rodziną, wszystkie garnki i wanienki podstawia na deszcz. A dachówka była. Właśnie przy domu ludowym leżało 16.000 dachówek. Pietrycki. Modliński i Gradek sprzedali ją, pieniądze nie wiadomo na co poszły. A sprawa ukrytych dzierżaw Pietryckiego? A 42 modrzewie, które sobie wyrąbał na skraju lasu?!

— Mało ci tego? Pisz do „Chłopskiej Drogi", niech wam pomogą zrobić porządek w tej twojej „Republice Dziewanowskiej".

— A żebyś wiedział, że tak zrobię! Pójdę do Bednarczyka i Lasonia, oni też się podpiszą. I Musiałek i Bryja...

— Od tego bracie, należało zaczynać. Tyś o Partii i Rządzie Ludowym zapomniał i od rebelii w „republice" powiatowej chciałeś zaczynać?... A o „Biologii" czytałeś? Aha — przypomniałem sobie — czytałeś książki, co ci dałem?

— Czytałem i to mnie dziwi, że w roku 1947, to znaczy w trzydzieści lat po rewolucji, byli w Związku Radzieckim profesorzy reakcyjni. Tu ciągle się wspomina o jakimś Malinowskim i Dubinienie. I pomyśl, uczyli w akademiach, pisali książki, a przecież reakcjoniści. Ty mnie od warchołów i jak tam — anarchistów — wyzywasz. A mnie po tej książce czujność się zaostrzyła rewolucyjna i upór walki. Bo ja rozumiem z tej książki, że póki jeszcze ten kapitalizm w świecie, wciąż my musimy ostro pilnować i walczyć. Patrz, gdzie to się wróg nie próbuje wkręcić, co ty na to?

— Co ja na to? Tu z Pietryckim i Szyszką łatwo jeszcze odróżnić, co czarne a co białe, to nie żadna filozofia. A tam... Przecież to nauki ścisłe, najtęższe głowy całymi latami pracują, specjalizują się, robią doświadczenia w laboratoriach. Nad nimi nie ma takich specjalistów, którzy by mogli rozstrzygnąć na poczekaniu kto ma rację: morganiści, którzy udają, że nimi nie są, czy Łysenko. A przecież i tam rozstrzygnęło życie, nieodparte potrzeby rozwoju społeczeństwa. Wsłuchując się w milionowy głos praktyków — Partia zdemaskowała wroga i zapewniła zwycięstwo przodującej nauce Łysenki.

Naraz otwarły się drzwi, bez pukania wszedł, a raczej wpadł, Bednarczyk.

— Serwus. Jak się macie!

Ten to już zawsze tak. Żwawy, wesoły, tryskający zdrowiem, liczy sobie trzydzieści parę lat a wygląda na dwadzieścia pięć. Żywiołowy i na pozór lekkomyślny,

kiedy sobie podpije chwyta człowieka w objęcia i zamiast pocałować, ugryzie w policzek albo brodę.

— Dobrze, żeś przyszedł — przywitał go Mitręga — bo my tu właśnie o Pietryckim i tak dalej... Wiesz, pismo do „Chłopskiej Drogi" wyślemy. Podpiszesz?

— Dawajcie bo mnie już cholera bierze na tych...

Nie prędko tego dnia wróciłem do domu, przesiedziałem u Mitręgi kilka godzin nad redagowaniem listu.

(D. c. n.)

Henryk Worcell

JERZY MILLER

W drodze na wieczór autorski

Zimowa noc i droga śnieżna.
Wiatr mroźny dmie. Wokoło pustka.
Waham się: — iść, czy nie iść przez las,
gdzie mnie zagnało od Pułtuska.

Za mną przyjazne światła dworca,
przede mną — nie życzę nikomu,
trzeszczących drzew ponury orszak
skłębia się w mroczną niewiadomą.

Przeciągły skowyt, psia modlitwa,
tęsknota do ojczyzny wilczej
rozcina ciszę jakby brzytwa
i wszystkim nakazuje milczeć.

Księżyc się wspina ponad las,
kryształki śniegu błyszczą.
Rękawem płaszcza chronię twarz
i idę... z niespokojną myślą.

Eh! Wylęknione serce skuczy
jakby je mróz popędzał ostry.
A może by tak lepiej wrócić
z nieuczęszczanej głuchej wiorsty?

Lodowe igły ranią czoło,
wiatry emalię śniegu tłuką.
— Czyżbym miał poddać się żywiołom,
aby się śmiały do rozpuku?

Nie takich scen był las teatrem,
las pełen rzeczywistych mogił.
I pomyślałem, walcząc z wiatrem,
o tych, co nie wrócili z drogi.

I wtedy w środku martwej głuszy
poprzez strach własny jak w olśnieniu
pojąłem całą głębią duszy
cudzą odwagę — tych z terenu!

... Niedoczekanie wasze, wietrze,
skowyty psie, pustkowia, zimo,
leśny bezdrożny kilometrze —
nie przejdę mimo!

RYSZARD PSZCZÓŁKOWSKI

FILM O „PAMIĄTCE Z CELULOZY"

ROBOTNICZY Włocławek przeżywa od kilku tygodni drugie interesujące spotkanie z „Pamiątką z Celulozy" Neverly'ego.

Pojawiły się we Włocławku zielone wozy „Filmu Polskiego", gromadząc na postojach tłumy ciekawskich.

— „Widziałeś filmowców? Ten szczupły — to Szczęsny, a ten starszy opalony — to jego ojciec..."

Nazwiska bohaterów filmu (tak, teraz już filmu) — Nowaga, odtwórcy roli Szczęsnego czy Milskiego, który gra rolę starego Bidy nie znikają z rozmów mieszkańców Włocławka.

✻

Jest piękne czerwcowe popołudnie. Bury pióropusz dymu bije prosto w błękitne niebo z kominów Celulozy, z tych kominów, na których tyle razy przed wojną 1 Maja zakwitał czerwony sztandar, spędzający sen z powiek Wajszycom i innym sługusom sanacyjnym. Wąską ulicą Łęgską pomknęło kilka zielonych wozów „Filmu Polskiego". Kierunek — Celuloza. Zanim jednak wysiedli z nich aktorzy, zanim wytaszczono z czeluści wozów kufry z rekwizytami i skrzynie z aparaturą, chodniki, ba nawet jezdnia, zagęściły się różnobarwnym tłumem. Statyści? Nie! To czytelnicy „Pamiątki".

A jest na co patrzeć. Oto jeszcze wczoraj przy wjeździe na dziedziniec stała sobie brama przystrojona w hasła głoszące o współzawodnictwie pracy, o Planie 6-letnim, a dzisiaj zawisł nad nią nienawistny szyld, przypominający minione a przecież jakże niedawne czasy. *„Fabryka Celulozy we Włocławku — Steinhagen & Saenger"*. A tuż za płotem „łączka bezrobotnych", na której przez długie dni, ba, nawet miesiące wyczekiwali nadaremnie na pracę włocławscy robociarze. Siedzą oni co prawda i teraz na skąpej, zielonej murawie, ale już jako... statyści. Ćmią papierosy, dowcipkują, opowiadają wrażenia z dzisiejszego dnia pracy, czekając cierpliwie na znak reżysera, który chodzi tam i z powrotem, ustawia aktorów, pokazuje coś na migi, macha rękami.

Naraz przed nosem operatora wyrasta człowiek z czarną tabliczką. To t.zw. „Klaps", na którym odnotowuje się białą kredą numer zdjęcia. Uwaga, zaczynamy!... Z głębi ulicy nadchodzi dwóch ludzi. Jeden stary, z sumiastymi wąsami z siekierą w jednej i z węzełkiem w drugiej — to ojciec Szczęsnego. Drugi młody, gapiowaty chłopak z rozwichrzoną czupryną, z wysłużonym plecakiem przerzuconym przez ramię. „To Szczęsny" — szepce ktoś w tłumie. Przybysze podchodzą nieśmiało do bramy. Stop! Koniec! — wybija im przed nosem „Klaps". Powtórzenie. Ktoś pakuje biednemu Szczęsnemu do starego plecaka dwie cegły, które przyciskają chłopaka do ziemi. Wybrali się przecież do „Ameryki" (jak nazywano wtedy Celulozę) przyszli więc niemal z całym dobytkiem, a zresztą mają za sobą z Rzekucia ładnych kilkanaście kilometrów drogi, powinni się więc trochę przygarbić. Trafne, chociaż niesłyszane przez aktorów i kierownika zdjęć uwagi widzów odpowiadają widocznie prawdzie, skoro operator powtarza zdjęcia. Znowu za chwilę klasnęła deseczka „klaps" i... kręcimy od początku.

Tym razem idzie już lepiej. Przybysze stąpają niepewnie, przystają co krok, jak to ludzie z tamtych czasów, pełni niepokoju i obawy co im przyniesie spotkanie z tą „Ameryką".

Koniec, myślę z ulgą. Ale gdzie tam. Szczęsny powinien spojrzeć jeszcze na dymiące kominy fabryki, pierwszy je bowiem raz widzi z bliska. Jak dla wiejskiego chłopaka, jest chyba na co popatrzeć.

Znowu syczy leciutko aparat. Znowu „klaps" wybija suchy takt. Na twarzach aktorów widać krople potu. Ciężki ich zawód. „Eh, mnie by tam już dawno szlag trafił, gdyby mi tak kazali ciągle nawracać!" — wykrzykuje obok mnie jakiś zniecierpliwiony robotnik.

Patrzę na zegarek. Upłynęło już wiele, wiele minut.

Ponieważ jednak pogoda dopisuje, filmowcy kręcą dalej.

Teraz operator wsuwa tubę aparatu w szpary sztachet, za którymi leżą, gwarzą i czekają na łączce bezrobotni. Jeszcze raz, jeszcze dwa razy obiektyw aparatu filmowego wędruje pomiędzy sztachetami, by za chwilę przenieść się na postać Szczęsnego, który skrada się po cichu w stronę płota, dotyka rękami sztachet i zagląda zaciekawionym wzrokiem na podwórze. Odwraca się na chwilę w stronę ojca, kiwając nań lekko głową. Stary Bida podchodzi ostrożnie do syna. Koniec ujęcia.

Ale historia powtarza się za chwilę od początku. Raz, dwa, dziesięć razy. Po godzinie operator wreszcie zadowolony. Krótki znak ręką. „Bezrobotni" z „łączki" podnoszą się, rozprostowują kości i wędrują do domu.

Cichnie ulica, zebrany tłum widzów wsiąka powoli w boczne uliczki, wraca do domów. Ten i ów zerka na zegarek, przyśpieszając kroku, moment bowiem, który na filmie trwać będzie kilkadziesiąt sekund zajął im tylko na samo przyglądanie dobre dwie godziny czasu. A scen takich w filmie jest kilkaset.

Rys. B. Butenko

Przez chwilę stoję wpatrzony w srebrny napis rzucony na siatkę szyldu nad bramą: *„Fabryka Celulozy we Włocławku — Steinhagen & Saenger"*. Nadjeżdża samochód z belami celulozy do papierni. Na drzwiczkach wozu miga napis: *„Zakłady Celulozowo - Papiernicze im. J. Marchlewskiego we Włocławku"*. Z szoferki wychyla się uśmiechnięta twarz kierowcy, jednego z takich, którzy nie znają już co to „łączka bezrobotnych", którzy nie znają niedawnej gorzkiej rzeczywistości, jaka już nie wróci...

✻

Na ratuszu strażackim na Żabiej, spod którego w tamte, złe dni wyszli rozbijać robotnicze barykady na Królewieckiej granatowi „chłopcy Sławoja" z Golędzinowa, bije 22,30.

Trzy szpule z taśmą nakręconą rano wędrują do kabiny operatora. Na ekranie ukazują się jakże znajome nam włocławiakom kontury Celulozy. Za chwilę obiektyw przenosi się na plac drzewny. Rażno lecą wióry spod ośników strugaczy, piętrzą się reje obałków. Ktoś przechodzi przed obiektywem z wiązką wiórów na plecach.

Oczekuję, że za chwilę ukaże się następna scena, ale gdzie tam... Znowu pojawia się plac drzewny, strugacze przy obałkach, reje z drzewem i „klaps", tym razem z numerem 174a. A za chwilę... znowu ten sam obraz tylko z numerem 174 b i jeszcze raz, jeszcze kilka razy.

Wreszcie nowa scena, kiedy stary oszust, majster Sumczak, wiedzie za sobą starego Bidę i innych robotników, którzy za ciężkie złotówki wkupili się w łaski bezlitosnego wyzyskiwacza.

Sumczak, opasły mężczyzna, kołysze się na krótkich nogach i gestykuluje żywo... Nieubłagany „klaps" (tym razem z numerem 175) przerywa jego pochód. Z za rejów z obałkami znowu wynurza się... Sumczak z robotnikami. Tym razem gestykuluje jeszcze żywiej, pokazuje ręką na piętrzące się „sztaple" by za chwilę, może już po raz 10-ty a może i 15-ty, rozpocząć swoją wędrówkę po placu.

Na końcu pochodu dostrzegam gapiącego się chłopaka z rozwichrzoną czupryną. Poznaję go — to Szczęsny.

Dochodzi północ. Tak więc prawie półtorej godziny trwa już projekcja tych kilku scen, które na filmie zajmą kilkadziesiąt sekund.

Zapala się światło. Ale nikt nie rusza się z miejsca. Teraz z głośnika dobiegają błagalne słowa jakiegoś zawiedzionego w uczciwości Sumczaka strugacza, skierowane do starego łotra: „Panie Sumczak, kiedy pan odda te dziesięć złotych"... i ginąca wśród rechotu złodzieja odpowiedź: „W poniedziałek, po pie.wszym... ale nie w ten poniedziałek, w tamten... do deszczu..."

Kiedy słyszę wzburzone słowa i okrzyki robotników: „Za bramę ich, na wózki i do Wisły" — domyślam się, że to stare „siekiery" robią wyrzuty „młodym", że zgodzili się pracować po zniżonej stawce i wskutek ich konkurencji wyzyskiwacz Pandera dziś lub jutro obniży również stawkę starym kwalifikowanym robotnikom.

A teraz głos żałosny starego Bidy: „Ludzie, nikogo nie skrzywdziłem, każdemu schodziłem z drogi, biedowałem całe życie a teraz już nie mogę... zabijcie mnie ludzie. Zróbcie do swej woli, ale nie mogę... a na to pełne spokoju i powagi słowa starego komunisty Marusika: „Uspokójcie się — nie po tośmy tu przyszli. Towarzysze, proszę o spokój. Musimy tę sprawę przekazać związkowi..."

✻

Zegar na ratuszu wybił godzinę 1 w nocy. Na ulicach pusto. Kroki moje głucho dudnią po chodniku ulicy Królewieckiej, na której w latach terroru sanacyjnego wzniosła barykady do walki z wrogiem włocławska klasa robotnicza.

Dzisiaj ulica ta nosi dumną nazwę ulicy Obrońców Stalingradu.

Okna mojego mieszkania wychodzą na Fabrykę Celulozy. Wpatruję się w czerwone lampy widniejące na szczycie komina, w jarzące się światłem okna hal fabrycznych gdzie pracują ludzie twardzi i mocni, wytrwali i dzielni — jak Szczęsny...

Mimo późnej pory po raz drugi zaczynam czytać „Pamiątkę z Celulozy"...

Ryszard Pszczółkowski

BOGDAN WOJDOWSKI

Z ZIEMI RADZIECKIEJ DO POLSKI

KSIĄŻKA Janiny Broniewskiej „Z notatnika korespondenta wojennego"*) wprowadza nas w dni wojny narodowej z faszyzmem, w atmosferę zaplecza „wschodniego frontu", jedynego antyfaszystowskiego frontu w Europie czasów drugiej wojny światowej. W wielkich skrótach oglądamy wojenny Kujbyszew i wojenną Moskwę, rzucony daleko w stepy sowchoz imienia Czapajewa i obóz pierwszej dywizji w Siedlcach nad Oką. Wraz z Broniewską towarzyszymy „bieżeńcom" w tragicznych dniach odwrotu, jesteśmy świadkami ofiarnej pracy ludzi radzieckiego zaplecza zjednoczonych we wspólnym gigantycznym wysiłku, określonym skromnym hasłem, które weszło już do historii ludzkości: „wszystko dla frontu". Śledzimy w ślad za przesuwającymi się chorągiewkami na mapach i wieściami frontowych komunikatów rosnące obszary wolności, obszary szlaku wyzwoleńczego Czerwonej Armii. Któż z nas wówczas nie czekał tych wieści! Cała Europa z przytajonym oddechem chciwie wyczekiwała wydarzeń ze Wschodu. Broniewska znała je wcześniej od nas. I trudno oprzeć się chęci zacytowania tego fragmentu z jej książki, kiedy po słowach spikera Lewitana: „Gawarit Maskwa! Budiet pieriedano ważnoje saabszczenie..." autorka wybiega na miasto i dzwoni do Heleny Usijewicz. Działo się to nocą 7 listopada 1942 roku. „Czarne, wygaszone miasto huczy. Gdzieś tam nawołują się ludzie, skrzypią bramy w domach. Przebiegam jezdnię i wpadam na nocnego dozorcę w budynku naszej redakcji. Ściskamy się jak krewni po długiej rozłące, łapię klucze od drzwi wejściowych. Korytarz, trzask wyłącznika, jeszcze jedne drzwi, już biurko Alfreda z telefonem. — Heleno! Heleno! Z drugiej strony słuchawki zaspany głos: — Co się stało? Jasia? Zwariowałaś? — Włącz głośnik! Włącz głośnik! Wielkie szczęście! Lewitan powtórzy jeszcze raz!" Trzy dni wcześniej ruszyła ofensywa radziecka pod Stalingradem.

W książce Broniewskiej mamy możność zaobserwowania, jak indywidualny ludzki los wyniesiony na głównym nurcie historycznego rozwoju staje się soczewką społecznych wydarzeń i jak uczestnictwo w nich pozwoliło pisarce stworzyć bez literackiej „szminki" nie tylko dokument literacki naszego czasu, ale i dzieło literackie — wykładnik artystyczny naszego czasu. Sekret polega na tym, że Broniewska potrafiła w „Notatniku korespondenta wojennego' *pomieścić autentyzm w ramach typowości.*

Z kart „Notatnika" patrzy na nas przede wszystkim twarz działacza, człowieka w pełni świadomego swej czynnej współodpowiedzialności za dokonywające się wydarzenia. Jesteśmy w kręgu redakcji „Nowych widnokręgów", kolejno przesuwają się przed nami Alfred Lampe, Wanda Wasilewska, Stefan Jędrychowski, towarzyszymy szerokiej pracy organizacyjnej podjętej przez komunistów polskich w Związku Radzieckim, pierwszym zjazdom Związku Patriotów Polskich, założeniu pisma ZPP — „Wolnej Polski", wysiłkom uwieńczonym sformowaniem I dywizji wojska polskiego im. Tadeusza Kościuszki.

Broniewska chętnie włącza do swych notatek fragment artykułu Lampego, przemówienie Wasilewskiej, list terenowego korespondenta gazety, czy wreszcie komunikat radiowy lub dyplomatyczną notę. To wszystko żywe dokumenty naszego czasu, świadectwa autentyzmu dziennika Broniewskiej, podkreślające niejako jego historyczny charakter.

Temperament publicysty, skrótowość techniki dziennikarskiej podszepnęły autorce najlepsze strony notatnika. Podróż do korpusu Andersa na reportaż czy wywiad z niesławnej pamięci „wodzem", to lapidarne szkice, gdzie w groteskowych pozach zastygli ci wszyscy, którzy „przez Indie szli do Grójca". Małość i nikczemność w powiązaniu ze zdradziecką rolą polityczną, jaką odegrali ci londyńscy „ambasadczycy", ukazała Broniewska w migawkowych, lecz niezapomnianych scenach. Czy to wówczas, gdy uchwyciła sztab korpusu z jego atmosferą wielmożostwa i legionowego pobrzękiwania szabelką, żebraczo obnoszonego cierpiętnictwa i ciągłego utyskiwania. Czy wówczas, gdy chwyta jak fotograf w świetle magnezji Andersa, który puszczając w wystudiowanej pozie kółka dymu recytuje wyuczoną sentencję: „Polacy mają wiele wad, ale Polacy nie zdradzają". Czy wówczas kiedy z całej rozmowy utrwala jedno jedyne pytanie, jakie jej i Helenie Usijewicz zadał w stołówce „wieszcz emigracyjny" i agent w masce kabotyna, Parnicki: „Czy komunistka może się zakochać w faszyście"? Czy w tym nieśmiertelnym obrazie Szczyrka i „ludowców" rozprawiających w Kujbyszewie w roku 1942 o reformie agrarnej „z wykupem".

Ale partie satyry to zaledwie jedna strona kunsztu Broniewskiej. Ile wzruszającego liryzmu tkwi w przelotnych scenach spotkań z ludźmi radzieckimi, z owym nieznajomym robotnikiem, który wysiadał z pociągu na każdym postoju i przynosił w swej legendarnej blaszance zupę dla dzieci „bieżeńców", z przygodnym zdunem z Kujbyszewa, który w domu o „trzech kątach" stawia uchodźcom „gałanki" (piecyki), z kołchoźnicami w stepowym sowchozie Czapajewa... „Katia Baszkirowa, mała Tatarka stojąca w rozpalonym południowym stepie ze swym perkalowym darem w drobnych spracowanych rękach dała mi wtedy coś bezcennego. Czyżby nie po prostu ludzkie, proste, najszczersze serce, jakby tylko zawinięte dla pozoru w miękki zwitek zwyczajnego perkalu?"

Kunszt portretu ujawnia sylwetka koniucha dywizyjnego, widzianego na przeprawie przez Okę. Ale cóż to za koniuch, który w stepie urządza wiec! Broniewska dodaje z nieskrywaną dumą: „Koniuch - oświatowiec, czyli po prostu rodzący się już żołnierz-obywatel. I czegóż się było dręczyć szczupłością naszych kadr? Będą rosły z dnia na dzień, mozolnie, z przełamywaniem oporów, będą wyrastać ze zwykłych żołnierskich szeregów. Na nich budujemy u licha tę wielką naszą sprawę — ludowe wojsko przyszłej, Ludowej Polski".

Broniewska jest „kronikarzem wielkich dni" nie przestając być przy tym wnikliwym obserwatorem małych epizodów. Ale cóż to za epizody! Epizody wielkiego szlaku bojowego, na którym przyszło wywalczyć Polsce prawo do wolności i socjalizmu, gdzie na „najkrótszej z dróg" zeszły się losy partii i narodu. To wówczas w którejś tam kampanii artyleryjskiej Szenwald wrócił do poezji, Julian Brun do swego bogatego dorobku publicysty dorzucał coraz wspanialsze esseje polityczne, Alfred Lampe pisał daleko wybiegające w przyszłość artykuły i po raz pierwszy w historii „wykazał prawo Polski do ziem zachodnich" (Aleksander Zawadzki), Wasilewska w natłoku pracy politycznej szykowała swą wielką epopeję powieściową. I jeśli mamy szukać, to właśnie tutaj szukać musimy źródeł odrodzenia literatury polskiej. Jest w książce Broniewskiej scena, kiedy spotyka ona w obozie wojskowym nad Oką kompanijnego kucharza, Polaka przebywającego od dziesięcioleci w ZSRR, który dopiero teraz z kościuszkowcami zapragnął powrócić do Polski.

„Patrzymy na siebie z kucharzem — życzliwie. Zastanowiła mnie jego polszczyzna, bo mówi najśliczniej zachowanym językiem Orzeszkowej. Trzydzieści lat nie był w Polsce. Nie zna naszego okresu jakże pozornej „niepodległości", okresu międzywojennego, nie przeżywał z nami wszystkich goryczy, klęsk, nie może nawet mieć naszej nienawiści ku sprawcom tragedii wrześniowej. Co się w nim ocknęło, co się w nim obudziło, że przyszedł tu, do tej maleńkiej, rodzącej się dopiero cząstki Polski Ludowej na gościnnym skrawku ziemi radzieckiej?"

Jest w tym jednorazowym obrazie jakby w przenośni zawarta historyczna prawda. Prawda naszych dni. Przenika ona książkę Broniewskiej od pierwszej strony do ostatniej. I to sprawia, że ten notatnik korespondenta wojennego przerósł w kronikę wielkiej wojny.

Bogdan Wojdowski

*) Janina Broniewska — „Z notatnika korespondenta wojennego", cz. 1, W-wa 1953, MON, str. 316.

TEOFIL KOWALCZYK

ROZKAZ

Czy patrolujesz drogi pogranicza,
czy nie śpisz pełniąc wartę w jednostce służbowej,
czy jesteś ze wsi, czy z miasta Kalisza,
z Łodzi, z Rzeszowa, czy z samej Warszawy,

czy zostawiłeś w domu starą matkę,
czy żonę z dzieckiem maleńkim w kołysce,
czy ojca, od którego czytasz list lub kartkę,
czy też dziewczynę, z którą chodziłeś nad Wisłę —

wiedz —

po ziemi, pod pięknym na niebie księżycem,
pod słońcem, co ci pali twarz na śniady kolor,
po drogach polnych, po gwarnych ulicach
chodzi wróg, szpieg, dywersant.

Jego oczy bolą,
że ten karabin nie z jego masz ręki,
że cię strzelać uczono nie do jego celów,
że śpi spokojnie twój synek maleńki
gdzieś we wsi Golczy czy w miasteczku Wieluń;
że tam w Kaliszu ludzie żyją zdrowo,
że zburzona Warszawa domy dźwiga skrzętnie,
że twoja matka ma dziś dach nad głową,
a w każdym mieście i wsi — coraz piękniej;
że nie wróci fabrykant, dziedzic, prowokator,
by cię do służby zagnać na własnym podworzu —
ten wróg podpaliłby kraj cały za to
i knuje wojnę i knuje pożogę,
by dom twój ujrzeć rozdeptany w kurzu,
a twoim bliskim dać nędzę i trwogę.

Więc pełnij służbę tak bystro jak orzeł!
Naucz się strzelać i trafiać liść w locie!
Wtedy ojciec spokojnie będzie zbierał zboże
i stara matka zaśnie pod gwiazdami nocy.
Jak zegar niechaj chodzi motor w samolocie,
a bagnet błyskiem niech olśniewa oczy!
Żona myśli o tobie, a dziecko szczebiocze.
Ich to rozkaz ustami dowódcy wydany
idzie z tobą na służbę: „Pamiętaj kochany".

Że dziś broń dźwigasz własną, żeś niewolę zdeptał,
żeś wolny jest wśród wolnych i wolność dasz synom,
nie zapomnij! Cóż? — Dziś jeszcze o stal karabinów
wsparta jest miłość. Bo piekło grozi. Noc przeklęta. —
A długa, długa droga wiodła spod Lenino.

„CO KOMU WINNA SPÓŁDZIELNIA?"

(Dokończenie ze str. 3)

Po co flanela, papa
czy gwóźdź?
W sklepie biedniaka
wspominać smptno,
Lepiej kułaka do sklepu
wpuść!

(słychać łomotanie do drzwi)

Głos Otworzyć, pilna poczta!

Kierownik: Panno Zosiu, klucz!

(otwiera drzwi — podają mu kopertę)

Kierownik (z szacunkiem): To z powiatu! Patrzcie, co tu stempli!

(z nabożeństwem rozrywa kopertę, odchrząkuje i wolno czyta):

„W dniu (takim a takim) przybędzie do waszej gminnej spółdzielni specjalnie wydelegowany przez nas pracownik, który pomoże wam zlikwidować wąskie gardła na odcinku buchalterii. Prosimy o zapoznanie wyżej wymienionego pracownika ze stanem rachunkowości". (rozkłada bezradnie ręce).

Zosia: Wąskie gardła! Straszne! (łapie się za gardło).

Żytko: Przecież to nie o panine gardło chodzi. W tej sprawie na pewno by z powiatu nie pisali.

Kierownik: Pan Żytko ma rację! Im chodzi pewnie o moje gardło. To zupełnie tak samo jak w tej książce pt. „Rewizor", co ją napisał pewien rosyjski pisarz nazwiskiem Gogol. Przed kilkoma dniami pożyczyłem sobie tę książkę z biblioteki świetlicowej. Ten Gogol to łepek... ho, ho... On w tej książce opisał jednego horodniczego. Horodniczy, to wiecie tak jak u nas sołtys, albo trochę wyżej. Ten horodniczy otrzymał zawiadomienie ściśle poufne, że do jego gromady przyjedzie rewizor, czyli taki nasz inspektor ze szczebla powiatowego. Nie potrzebuję wam mówić moi kochani, że horodniczy bardzo się tą wiadomością przejął. Bo kogo nie przejmuje czynnik z powiatu? Kogo? Tak jakby ci coś u dentysty oddech zapierało, o, tutaj w samym środku...

Zosia: No i co się z tym horodniczym stało?...

Kierownik: A to jeszcze nie wiem, bom nie doczytał pierwszego aktu... Teraz to muszę szybko czytać, żeby dowiedzieć się, co było dalej...

Zosia: Żeby pan tylko zdążył...

Kierownik: O jasna Anielka! Rzeczywiście! (spogląda w pismo) Przecież on dzisiaj przyjeżdża. To ci heca!

(łomotanie do drzwi)

Głos: Otwierać! Sklep powinien być otwarty!

(Zosia chowa się pod ladę)

Kierownik: Może to już ten rewizor? Skaranie boskie z tym powiatem! Niech panna Zosia się nie chowa — tylko w trymiga ukryje pod ladą te wiadra i ręczniki.

(coraz bardziej natarczywe łomotanie)

Zosia: Uff! To tylko pan Stach!

Stach: Dzień dobry! Ależ się wyczekałem. Ładne porządki, żeby pod sklepem stać całą godzinę. O, co ja widzę, akordeon? (bierze do rąk). Taki akordeon przydałby się naszej świetlicy. Ile on kosztuje?

Kierownik (ze złością): Mniejsza o to, już kupiony!

Stach: Szkoła kupiła?

Kierownik: Eee, gdzie tam szkoła. Pan Balcerzyk wziął dla swego Felka.

Zosia: Wesela będą ładne...

Żytko: Tej tylko w głowie wesela.

Stach: Dlaczegoście nie zawiadomili świetlicy? Sami byśmy kupili! Zawsze przy akordeonie inaczej się śpiewa i przedstawienia z muzyką można urządzać. A tak, to ino na grzebieniu grać.

Kierownik: A grajcie sobie, grajcie, na czym chcecie. Mnie tam bez różnicy. Znałem jednego Radziwołka spod Wielunia, ten grał znowu na butelkach. I całkiem mu dobrze szło. Jak człowiek chce grać — to na wszystkim zagra.

Stach: A z pana to też dobry gracz. Dobrze pan zagrywa swoim kumotrom. Już my coś o tym wiemy...

Kierownik: Licz się chłopcze ze słowami, bo będzie źle... Już tym smarkaczom całkiem się w głowach poprzewracało. Chcieliby wszystkimi rządzić...

(otwierają się powoli drzwi, pierwsza spostrzega to Zosia, daje ostrzegawcze znaki kierownikowi).

Głos od drzwi: Co się tutaj dzieje? (wchodzi mężczyzna z teczką, kierownik puszcza Stacha i wybiega w lansadach na spotkanie przybysza).

Kierownik (uniżenie): Moje uszanowanie! Z kim mam przyjemność?

Rewizor: Przybywam z powiatu wydelegowany specjalnie dla uporządkowania waszej księgowości. Oto moja legitymacja...

Kierownik: Ależ po co te formalności. Witamy, witamy! Dzisiaj właśnie otrzymałem w tej sprawie pismo.

Zosia: Pan to pewnie od tych wąskich gardeł? (łapie się za gardło). Bo jeśli chodzi o mnie, to mam gardło szerokie i nawet bardzo lubię śpiewać...

Rewizor (śmiejąc się): Tu nie chodzi wcale o pani gardło...

Wąskim gardłem nazywamy fachowo to wszystko, co hamuje nam pracę i utrudnia wykonanie planu.

Stach: Szczerze mówiąc, to nie bardzo jesteśmy zadowoleni. Bo na ten przykład kierownik nie chce sprzedać świetlicy akordeonu. Już go kułakowi przehandlował...

Kierownik (z wściekłością): Tylko nie przehandlował! Parę dni temu zaczepił mnie jeden Balcerzyk i powiada: „Kierowniku, jakby tam przyszły kiedy do spółdzielni harmoszki, to pamiętajcie o mnie, bo chcę kupić jakiś instrument dla swego Felka". A trzeba wiedzieć, że to chłopak bardzo muzykalny...

Stach: Taki muzykalny jak i ja. Ja też umiem grać na akordeonie i na pewno nie gorzej od niego. Zaraz wam pokażę... (gra wiązankę ludowych melodii).

Rewizor: W samej rzeczy chłopak gra doskonale. Bardzo mi się podobało.

Zosia: To prawda! Miałam się kiedyś pobrać z jednym Walenciakiem, ten także samo grał jak diabeł. Ale mi uciekł. I tylko ręczniki mi zostały...

Rewizor (zwraca się do kierownika) O cóż więc właściwie chodzi? Akordeon jeszcze nie sprzedany, świetlica może go kupić. (do Stacha) Tylko skąd weźmiecie pieniędzy?

Stach: Uzbierało się trochę z ostatniego przedstawienia i loterii książkowej. A gdyby nawet zabrakło, to się chętnie złożymy.

Rewizor: To bierzcie ten akordeon. Chyba kierownik nie ma nic przeciwko temu?

Kierownik: Ja zawsze tak jak... obywatel - delegat. Obowiązki społeczne znam, nigdy się od nich nie uchylam. Tylko o tym planie ciągiem myślę. O tej czujności...

Koniec części pierwszej.

Sygnały...

BARBARA TYLICKA

NASZ DOM JEST WASZYM DOMEM

„Domem odzyskanego dzieciństwa" nazwał Marian Brandys dom wojennych sierot koreańskich w Polsce. Jego reportaże z życia gołotczańskiego domu wzruszają grozą wojennych wspomnień dzieci i optymizmem przyjaźni, jaką je otacza polskie środowisko

Powszedni dzień, piękne „odruchy ludzkiego serca", powolne narastanie u dzieci zaufania i wiary w przyjazne uczucia białych ludzi, proces wrastania dzieci w pokojowe życie — to jeden wątek tematyczny tych reportaży.

„Jakie dziwne jest życie w tym domu. W najdrobniejszych codziennych sprawach tkwią odpryski historycznych wydarzeń" — stwierdza polska wychowawczyni. Te „odpryski historycznych wydarzeń" podane jako wojenne wspomnienia dzieci z Korei — to drugi wzruszający temat książki Brandysa.

Koreańskie dzieci grające w piłkę i w „talara" na gototarańskim boisku w tych opowiadaniach okazują się bohaterami w walce o wolność Korei.

Czung-Chinowi nie pozwala jeść ani spać uparcie powracające wspomnienie strasznej śmierci rodziny. Amerykańscy agresorzy w jego oczach zamęczyli rodziców i siostrę.

Li-Wan miał niezwykle bogate przygody. Wyzwalał Koreę spod okupacji japońskiej jako syn jednej z dywizji Armii Radzieckiej Dalekiego Wschodu, później jako partyzant walczył z amerykańskim zaborcą.

Li Chio-sik — jeden z dziesięciu kapitanów gototaranskiej „Korei" nim przyjechał do Polski zdobył w dalekiej ojczyźnie dwa wysokie odznaczenia partyzanckie. On właśnie widział, jak po żywym ciele dzielnej Nam Sun-dzun przejeżdżał amerykański czołg...

Przeżyli oni więcej, niż zdoła przeżyć dziecięce serce. Z ich wspomnień wiemy, jak tragiczne doświadczenia wojenne spłoszyły ich dzieciństwo. Wiemy, dla czego Czun Chin nie może jeść, dlaczego tak głęboko brzmią Li-Wan słowa:

„Maskwa, Maskwa stolica maja"

Opowiadania - wspomnienia zajmują większą część książki. Uzupełniają charakterystykę dzieci koreańskich. Przynoszą obrazy walki koreańskich patriotów. Z nich dowiadujemy się o ofiarnym patriotyzmie koreańskiej Młodej Gwardii, o zadaniach bojowych organizacji pionierskiej w Korei. Autor usiłował jak najbardziej zindywidualizować gromadkę dzieci koreańskich. Najlepiej mu się to udało w wypadku tych postaci, które ukazał także w walce na terenie Korei. Sylwetki dzieci w gołotczańskim domu są zarysowane bardzo żywo. Są wśród nich tzw. „mechanicy", którzy odznaczają się dużym zainteresowaniem dla wszystkich mechanizmów i niekiedy potrafią sprawić wiele kłopotu. Jest mały „wynalazca" Tsou Gu-So i poeta Rin Kou-Chim, dla którego Puszkin stał się symbolem poezji. Gołotczański „Puszkin" i tancerki Pak-Sou-Dza oraz Kim Gouzuk — to sława i duma gołotczańskiej „Korei".

Wiele trudu wskutek nieznajomości języka wykazywali polscy wychowawcy w poszukiwaniu jak najlepszej metody porozumienia się z dziećmi i przywrócenia im utraconej radości życia.

Przyjazne, serdeczne uczucia dyrektorki, wychowawców, kucharki Parypińskiej, mechanika Peta powoli zacierają koszmarne wspomnienia. W tej atmosferze wraca powoli zrabowane dzieciństwo.

Tęsknota za krajem, echa wiadomości z przebiegu walk w Korei, stosowanie coraz bardziej okrutnych rodzajów broni przez agresorów amerykańskich mącą jednak odzyskane chwile radości. Jakże często mała Kim Che-suk płacze nocami wtulona w poduszkę! Ojciec jej walczy jako major w Korei.

„Każde z tych dzieci — mówi Brandys — ma już jasny i ustalony pogląd na świat. Niewzruszoną linię podziału świata wytyczają groby ich zamordowanych rodziców. Po jednej stronie są mordercy, po drugiej przyjaciele". Przyjaźń podnosi i krzepi maleńkie serca szczególnie, że przyjaciół jest aż tylu. I Ruski jest. I Kitaj jest. I India. I Polski. I Bułgar".

„Nasz dom jest waszym domem" — głosi w języku koreańskim napis umieszczony nad głównym wejściem do domu dzieci koreańskich w Polsce.

Niedawny jest koszmar wojny hitlerowskiej w Polsce i przy czytaniu książki o dzieciach koreańskich nasuwa się jej wspomnienie. Oblicze faszyzmu jest to samo. Pamiętamy, jak wiele zginęło dzieci polskich i żydowskich. Nie miały gdzie wyjechać dzieci zamojszczyzny, warszawskiego getta... Jakże jest piękna i jak cenimy przyjaźń narodów, która ratuje dzieci od zagłady. Dom odzyskanego dzieciństwa, to Polska Ludowa. Przyjaźń narodów i ich walka w obronie Pokoju budzi nadzieje koreańskich dzieci.

NAD TOMEM »PISM« MIKOŁAJA OSTROWSKIEGO

Któż z nas nie zna powieści „Jak hartowała się stal"? Któż nie pamięta wspaniałej postaci Pawła Korczagina, która stała się wzorem do naśladowania dla setek tysięcy młodych chłopców w Kraju Rad i wszędzie tam, gdzie wre walka o wyzwolenie ludu?

Nie wszyscy chyba jednak znają drugą powieść Ostrowskiego „Zrodzeni z burzy", którą pisarz poświęcił walce Armii Czerwonej przeciw piłsudczykowskiej interwencji i której pisanie przerwała śmierć, a już na pewno niewielu czytelników zdążyło się zapoznać z jego artykułami, przemówieniami i listami.

A warto. Warto sięgnąć po wydane przez Wyd. MON „Pisma" Mikołaja Ostrowskiego. Obejmują one oprocz obydwu powieści obszerny zbiór artykułów, przemówień i listów, a poprzedzone są ciekawym wstępem Heleny Bobińskiej.

W roku 1925 Mikołaja Ostrowskiego, czynnego, pełnego życia, żarliwego aktywistę Komsomołu, spotyka cios, który dla wielu ludzi pospolitych oznaczałby koniec wszelkiej działalności. Liczący wtedy 21 lat przyszły pisarz zapada wskutek odniesionych w wojnie domowej ran na obłożną, nieuleczalną chorobę. Traci władzę w nogach, codziennie borykać się musi z ogromnym bólem, wkrótce potem ślepnie. Wydaje się, że to juz kres wytrzymałości: płomienny bojownik przykuty na resztę życia do łóżka, sparaliżowany, odcięty od świata brakiem wzroku. Rzeczywiście — w listach Ostrowskiego występują plany samobójstwa. O samobójstwie myśli też jego bohater, Pawka Korczagin. Lecz nie trwa to długo. Bojownik odnajduje swe miejsce w walczących szeregach, postanawia zostać pisarzem.

Jego spuścizna publicystyczna i listy mają dla nas między innymi tę wartość, że ukazują, jak dokonała się ta decyzja, ile nadludzkiego wprost hartu i wytrzymałości wymagała jej uwieńczona pełnym sukcesem realizacja.

Lecz nie tylko prawdę psychologiczną o świadomości bohatera znajdziemy w tej części „Pism". Publicystyka Ostrowskiego stanowiła w chwili powstania i stanowi do dziś cenny oręż w walce o wychowanie nowej kadry pisarzy socjalistycznych, stać się winna dla młodzieży literackiej bogatym źródłem przeżyć, zbiorem cennych wskazówek — od najbardziej zasadniczych, dotyczących pisarskiego światopoglądu, aż do drobnych pozornie, poruszających jakże ważne zagadnienia: języka, stylu, metody pracy nad sobą i nad swym dziełem, stosunku do krytyki.

W artykule „Jaki powinien być pisarz w naszym kraju" Ostrowski tak charakteryzuje zadania pisarza radzieckiego: „To przede wszystkim budowniczy socjalizmu, a nie obojętny „obserwator". To bojownik. Bojownik, nauczyciel, trybun. Człowiek przez wielkie C". Słowa te stanowić dziś mogą wyznanie wiary każdego pisarza, który związał się z pracą i walką swego narodu. Tym bardziej godzi się je pamiętać, że ich autor praktyką trudnego życia potwierdził słuszność swych wskazań.

Sygnalizowaliśmy wyżej bogatą problematykę artykułów i listów Ostrowskiego. Z braku miejsca nie można tu przypomnieć wszystkich ciekawych i ważnych jego wskazań. Zajmijmy się więc jednym zagadnieniem: sprawą stosunku pisarza do krytyki i zadań, które Ostrowski przed nią stawia.

„Krytyka — to prawidłowy obieg krwi, bez krytyki nieunikniony jest zastój i objawy chorobowe" — stwierdza Ostrowski. Lecz jakie warunki winien spełnić krytyk, aby pomóc rzeczywiście pisarzowi, aby przyczynić się do jego dalszego rozwoju. W czym i jaka pomoc potrzebna jest przede wszystkim każdemu twórcy?

Po pierwsze: krytyka powinna być ostra, bojowa. Na posiedzeniu Związku Pisarzy Radzieckich, poświęconym dyskusji nad „Zrodzonym z burzy", Ostrowski mówił: „Proszę was, ażebyście mi po bolszewicku, być może bardzo surowo i bezwzględnie, wskazali wszystkie braki i i przeoczenia, których dopuściłem się w mojej pracy... Wymagajcie ode mnie dużo, bardzo dużo. Podchodźcie do mnie jak do pisarza w pełni odpowiadającego za swój utwór zarówno jako literat, jak i komunista". W świetle tego cytatu sprawa jest jasna: krytyka winna być śmiała i bezkompromisowa także dlatego, że godność pisarza cierpi na traktowaniu go pobłażliwym, z góry zakładającym niski poziom wyrobienia ideowego i artystycznego.

Po drugie: krytyka winna być sumienna, oparta na rzetelnej analizie materiału utworu. Lekkomyślną, z palca wyssaną tezę jednego z krytyków o „karłowaceniu Korczagina w zamęcie walki rodzinnej z mieszczańskimi krewnymi żony" pisarz nazywa „kopniakiem, który trafił go w twarz".

Po trzecie: krytyka winna być konkretna. Ostrowski stwierdza nieprzydatność ogólnych cenzurek w rodzaju tej, wystawionej powieści „Jak hartowała się stal" na łamach czasopisma „Książka młodzieży". „W książce są również pewne chropowatości językowe, niestaranny język, szablonowe opisy". „Autor — pisze Ostrowski — nie dał odpowiedzi, na czym polega ten brak opracowania, a tego potrzeba mi najbardziej".

Po czwarte: Autor „Jak hartowała się stal", książki stale przez siebie poprawianej, ostrzega przed niepoważnym, niewychowawczym stosunkiem do pisarza, polegającym na poprawianiu utworów bez jego udziału, na wprowadzaniu do książki rzeczy, których sam nie przeżył i sam nie napisał. Nie na tym powinna polegac redakcja książki, zabieg skądinąd bezwzględnie konieczny. Posłuchajmy, jaką daje odprawę krytykowi Dajriedzijewowi, który w swej recenzji zwrócił się do znanego pisarza W. Iwanowa z propozycją „zharmonizowania wewnętrznego" pierwszej powieści autora. „Książka ma wiele braków". Jest daleka od doskonałości. Ale jeżeli napisze ją na nowo szanowny Wsiewołod Iwanow — to czyjze to będzie utwór — jego czy mój? Gotów jestem uczyć się u Wsiewołoda Iwanowa. Ale przerabiać swoją książkę muszę sam, przemyślawszy, uogólniwszy wskazówki mistrzów literatury. Nam, młodym, potrzebne są te wskazówki jak powietrze".

Wybrałem tylko parę problemów z całego ich bogactwa, które odsłania się czytelnikowi z artykułów, przemówień i listów Ostrowskiego. Dobrze byłoby, gdyby zachęciły was one do lektury całego tomu. Warto bowiem zapoznać się z kroniką uczuć i myśli tego człowieka, który i w życiu i w twórczości był równie bezkompromisowym komunistą.

W. B.

ZWYCIĘSTWO POKOJU

Wyniki wyborów włoskich nasuwają wiele pouczających wniosków.

Rządząca chadecja była tak pewna, że wraz ze sprzymierzonymi partiami dostanie więcej niż połowę wszystkich oddanych głosów, że przeforsowała uprzednio oszukańczą ordynację wyborczą, zapewniającą tej większości premię w postaci około 80 mandatów. To dałoby zaprzedanym imperializmowi amerykańskiemu partiom trwałą większość parlamentarną dla kontynuowania antyludowej polityki zdrady narodowej.

Nic z tego jednak nie wyszło. Pomimo finansowanej przez Wall Street intensywnej propagandy, pomimo kampanii oszczerstw i kłamliwych obietnic, poparcia Watykanu i terroru policyjnego panująca reakcja poniosła w wyborach **klęskę** *Zwycięstwo odnieśli komuniści i lewicowi socjaliści zdobywając blisko 10 milionów głosów, to jest o 2 miliony więcej niż w wyborach 1948 r.*

Dwa miliony uczciwych Włochów, którzy jeszcze 5 lat temu wierzyli demagogicznym obietnicom De Gasperiego, przekonały się od tego czasu, że droga, którą ich wiedzie chadecja, jest zgubna. Ludzie ci poczuli na własnej skórze, że osławiona „pomoc" amerykańska przynosi im bezrobocie i nędzę, że przekształca ich kraj w kolonię i prowadzi go do nowej wojny. Wśród wielkiej masy ludzi, którzy ujrzeli prawdę, znalazło się sporo chłopów, którzy stwierdzili ponadto, że reakcyjne partie kapitalistów i obszarników nie mają wcale zamiaru dać im ziemi i oswobodzić ich od przeżytków feudalizmu, które panują jeszcze w znacznej części kraju.

Wyniki wyborów we Włoszech świadczą o poważnym wzroście nastrojów pokojowych. Głosując przeciw chadecji masy pracujące wypowiedziały się przeciw paktowi atlantyckiemu, przeciw odrodzeniu Wehrmachtu i przeciw obecności wojsk amerykańskich w ich kraju. We Włoszech — podobnie jak i w innych państwach Europy Zachodniej — rośnie opór ludu przeciw narzuconej przez Amerykę polityce budżetów wojennych i militaryzacji gospodarki, przeciw polityce antykomunizmu i faszyzacji ustroju. W dniu wyborów masy ludowe dały wyraz dążeniom do zasadniczej zmiany polityki wewnętrznej i zagranicznej ich kraju.

Kierowana przez chadeków koalicja rządowa ma w nowym parlamencie znikomą i wobec tego bardzo niestałą większość. W tych warunkach nader trudno jej będzie uzyskać poparcie parlamentu dla kontynuowania dotychczasowej polityki.

Omawiając nową sytuację, która wytworzyła się po wyborach, wódz Komunistycznej Partii Włoch i narodu włoskiego, Palmiro Togliatti zaproponował zjednoczenie wszystkich sił, które chcą prowadzić politykę zgodną z wyrażoną w wyborach wolą ludu i z interesami narodowymi Włoch. Takiego rodzaju koalicja prowadziłaby politykę pokoju i przyjaźni ze wszystkimi narodami przyczyniając się do odprężenia w stosunkach międzynarodowych. W polityce wewnętrznej zmobilizowałaby ona wszystkie rezerwy kraju do walki z nędzą ludu i przeprowadziłaby reformy społeczne, których domaga się naród.

Zwycięstwo sił demokratycznych we Włoszech ma poważne znaczenie międzynarodowe. Uderza ono w reakcyjne siły próbujące montować bloki wojenne w Europie Zachodniej, wzmacnia światowy obóz demokracji i pokoju.

LUDWIK MYSAK

Nadzieja ludów

Za parę dni miną trzy lata od chwili, kiedy na 38 równoleżniku padły pierwsze strzały agresji przeciw Korei.

Dla narodu koreańskiego były to lata nieopisanych cierpień i bohaterskiej walki. Na wszystkich krańcach świata uczciwi ludzie z głęboką sympatią śledzili martyrologię dumnego i nieustraszonego ludu, który padł ofiarą nienasyconej żądzy grabieży monopolistów z Wall Street. Oburzenie ogarniało nas na wieść o pociskach napalmowych lub o bakteriach tyfusu

Amerykańska matka wita syna, dawnego jeńca, wracającego z Korei

i cholery, którymi najeźdźcy próbowali wytępić miłujący wolność naród. Barbarzyńskie naloty na Phenian przypominały nam zburzenie Warszawy. Słowo Kożedo kojarzyło się ze strasznym ongiś słowem Oświęcim.

Nawet ludzie, którzy z początku mało troszczyli się o losy wojny toczącej się o tysiące mil od nas, w ciągu tych lat zrozumieli, że bohaterski naród koreański broni nie tylko swych domów i swych dzieci, swej starej kultury i swego bytu narodowego. Zrozumieli oni, że bojownicy z Phenianu walczą także o wolność, kulturę i pokojowe życie wszystkich narodów, którym imperializm zagraża niewolą, barbarzyństwem i zniszczeniem.

„To, co się stało w Korei, powinno było stać się w takim lub innym punkcie kuli ziemskiej" — przyznał cynicznie jeden z czołowych strategów Pentagonu, generał Van Fleet. Powinno to było stać się gdziekolwiek i setki tysięcy niewinnych ludzi powinny były zginąć po to, by amerykańscy królowie czołgów zagarnęli bajeczne zyski i by mogli przeprowadzić próby nowej wojny światowej, której tak namiętnie pożądają.

Dla osiągnięcia błyskawicznego zwycięstwa, agresorzy ściągnęli milionową armię, wyposażoną w najnowocześniejszy sprzęt. W czasie drugiej wojny światowej Amerykanie nie wysłali tak potężnych armii przeciwko Wehrmachtowi. Jeszcze jesienią 1950 roku Mac Arthur obiecywał swoim żołnierzom, że Boże Narodzenie spędzą już w domu. Rzeczywistość wykazała jednak, jak próżna jest chełpliwość współczesnych pretendentów do panowania nad światem. Największemu mocarstwu imperialistycznemu nie udało się pokonać niewielkiego liczebnie narodu, broniącego swej ziemi ojczystej.

Bohaterski naród koreański nie był osamotniony w swej walce. U boku jego armii walczyli ochotnicy z sąsiednich Chin Ludowych, które miały być kolejną ofiarą inwazji jankesowskiej. Ogromnego poparcia moralnego udzielał Korei wielki naród radziecki. Przedstawiciele Kraju Rad i państw demokracji ludowej w ONZ demaskowali wciąż zbrodnie agresorów i wzywali do położenia kresu wojnie na Korei. Wystąpienia dyplomatów obozu socjalizmu odbiły się głębokim echem w sercach wszystkich miłujących pokój ludzi. Pod naciskiem światowej opinii publicznej Waszyngton musiał zgodzić się na rozpoczęcie rokowań o rozejm.

Historia dwuletnich pertraktacji rozejmowych, to łańcuch prowokacji i sabotażu ze strony amerykańskiej i epos cierpliwości, dobrej woli i chęci porozumienia ze strony koreańsko-chińskiej.

Już w grudniu 1951 roku obie strony wymieniły listy jeńców. Zdawało się, że nic już nie stoi na przeszkodzie zawarcia zawieszenia broni. Lecz wówczas Stany Zjednoczone wysunęły sprzeczną z prawem międzynarodowym i ustaloną tradycją wszelkich traktatów pokojowych zasadę „dobrowolnej repatriacji jeńców". W myśl tej zasady sto tysięcy jeńców koreańskich i chińskich miało nawet po wojnie pozostać w niewoli amerykańskiej. Fałsz i zakłamanie tej propozycji demaskowali sami jeńcy. Ci, którzy mieli rzekomo odmówić powrotu do swych domów podjęli bój przeciwko terrorowi, przy pomocy którego Amerykanie chcieli skłonić ich do wyrzeczenia się swej ojczyzny. Rozwścieczone tym oporem dowództwo amerykańskie uciekło się do masowych rozstrzeliwań bezbronnych jeńców.

Dwulicowe stanowisko rządu waszyngtońskiego, który głosił idee pokoju, a w praktyce nie dopuszczał do rozejmu w Korei, wywołało oburzenie opinii światowej. Nawet rządy „sprzymierzonych" z USA krajów musiały pod naciskiem swych ludów potępić krętacką taktykę delegacji amerykańskiej w Panmundżonie. W samych Stanach Zjednoczonych ruch za bezzwłocznym zaprzestaniem wojny koreańskiej ogarnął dziesiątki milionów ludzi. „Eisenhower stoi w obliczu wyboru między zgodą na rozejm, a wojną, jaką USA prowadziłyby samotnie, gdy alianci z ONZ nie mają żadnej ochoty kontynuowania walki... Wątpliwe jest, czy naród amerykański zgodziłby się w obecnych warunkach na dalsze ofiary na rzecz wojny" — pisał ostatnio komentator dolarowego koncernu prasowego Scripps-Howarda.

Gdy rządy Korei i Chin wystąpiły niedawno z nową inicjatywą pokojową, którą Związek Radziecki poparł swym wielkim autorytetem, imperialiści zza oceanu widzieli się zmuszeni do powrotu na drogę rokowań, którą tyle razy opuszczali pod najbłahszymi pretekstami.

Według ostatnich wiadomości z Panmundżon czynione tam już są ostatnie przygotowania do podpisania rozejmu. Cały świat czeka niecierpliwie na radosną wieść, że operacje wojenne zostały wreszcie wstrzymane na polach Korei.

Wielki pisarz radziecki Ilia Erenburg nazwał wiosnę tego roku wiosną pokoju. I istotnie, co kilka dni słyszymy teraz o nowym poważnym zwycięstwie sił pokoju na jakimś odcinku świata. Niezwyciężona potęga obozu pokoju, któremu przewodzi wielki Związek Radziecki, uniemożliwia realizację niecnych zamysłów monopolistom nowojorskim. Ogromna większość ludzkości zaangażowała się w ogarniającą cały świat walkę o szlachetny cel, o wywalczenie trwałego pokoju.

Ludwik Mysak

HOWARD FAST

DO JULIUSZA I ETHEL ROSENBERGÓW

Nie spotkałem was nigdy,
ale na całym świecie są bohaterowie, których nie spotkałem,
a żyją w moim sercu i są mi bliscy,
wierni towarzysze najpiękniejszego braterstwa,
jakie znała ludzkość;
i dla nich tak jak i dla was
serce mam pełne czci i miłości.

Nie płakałem nad wami nigdy.
Bo jak opłakiwać potęgę?
W czasach najgłębszej hańby mego kraju
wy, odkupiciele moi,
idziecie przez ciżbę tchórzów
jak bohaterowie,
wysocy i dumni — że aż cały rosnę
i dusza moja rośnie
i opuszcza mnie trwoga.

Teraz jesteście sami, a noc jest ciężka od godzin,
ciemność odmierza czas, który wam zakreślili,
miejsce i dzień wyznaczyli wam z góry,
by śmierć, co jeden raz tylko przychodzi po człowieka,
po was przychodziła sto tysięcy razy.
Tę mękę obmyślili ostatni z ostatnich,
przeniewiercy ojczyzny i rodu ludzkiego,
bestie atomowe, biegłe w torturach najciemniejszych czasów
i zbrojne w ogień piekielny,
którzy grożą wszystkiemu, co dobre i czułe,
cenne, umiłowane i święte dla ludzi,
grożą nadziejom ludzkim, snom i pragnieniom —
jesteście sami, ale nie samotni,

Cóż wam powiem, Ethel i Julku?
Czy mam płakać?
Bracie mój, siostro moja, płakać nie potrafię
i nie ma dość łez, by obmyć mur co się wznosi przed nami.
Mocniejszy jestem w gniewie;
hodować będę gniew,
sycić płomień palącego gniewu,
przepoję nim pamięć moją i pamięć każdego.
To uczynić potrafię.

Żyłem razem z wami.
Ileż siły musi być w dwojgu ludziach,
by z niej czerpać mogło tak wielu?
Od was biorę siłę i biorę odwagę
i waszej oddam je sprawie.
Bracie i siostro, nie mówię żegnajcie,
lecz do widzenia.

Przełożyła Irena Tuwim

GEORGE BIDWELL

PORTRET WALCZĄCEGO NARODU

RÓWNO dwanaście lat temu Manolis Glezos zdarł sztandar ze swastyką, sztandar hitlerowskiego okupanta, ze szczytu Akropolu. Dziś z rozkazu okupanta amerykańskiego Manolis Glezos znajduje się w więzieniu wraz z dziesiątkami tysięcy innych patriotów greckich.

Taki jest obraz Grecji naszych dni. Obraz ten ukazuje w szeregu

wstrząsających rysunków świetny malarz angielski, Paul Hogarth, który swe życie związał z ruchem klasy robotniczej. Rysunki te cieszyły się niedawno wielkim powodzeniem na wystawie zorganizowanej przez Międzynarodowy Klub Prasy i Książki w Warszawie.

Rysunki Hogartha ukazały się teraz w książce*) i o niej pragnę powiedzieć parę słów. Książka znajduje się u nas w sprzedaży. Wartość jej podnosi przedmowa znanego postępowego pisarza, James Aldridge'a. Przedmowa ta jak i wstęp samego Hogartha są w języku angielskim. Reszta zaś książki złożona z 50 rysunków mówi językiem plastyki, zrozumiałym dla wszystkich.

„Współczesny bieg wydarzeń w Anglii — pisze Hogarth w swoich uwagach — zmierza do zepchnięcia artysty w głąb izolowanej pracowni. Nie można jednak żyć w świecie oderwanym i watą obojętności zatykać uszy na odgłosy przygotowywanej wojny. Artysta musi wypełnić z dawna u nas nie obsadzoną rolę malarskiego sumienia ludzkości, ukazywać tragedie i bohaterstwo naszych czasów".

Latem zeszłego roku Hogarth udał się do Grecji. Znalazł kraj bijący wszelkie rekordy. Grecja otrzymała rekordową sumę „pomocy" USA — przeszło 2 miliardy dolarów. Wyniki tej pomocy również są rekordowe. Grecja ma aż 21,6 proc. ludności pod bronią, zmobilizowanej aż nazbyt często przemocą. 48 proc. budżetu idzie na zbrojenia — więcej niż u któregokolwiek z satelitów Ameryki. Deficyt budżetowy jest najwyższy w świecie i wynosi 80 milionów dolarów. Analfabeci stanowią 40,8 proc. ludności — jeszcze jeden rekord w Europie. Równocześnie zaś wszystkie co lepsze gmachy w centrum Aten zajmują amerykańskie przedsiębiorstwa, w kosztownych hotelach mieszkają wyłącznie okupanci. A wreszcie rekord bezrobocia — 30 proc. zdolnej do pracy ludności — i rekord cen, najwyższych cen w świecie, według danych ateńskiego przeglądu gospodarczego „Nea Okonomia".

Z drugiej strony są inne, krzepiące tym razem rekordy. Lud grecki stawia nieugięty opór rządom amerykańskich okupantów i od 1951 ilość strajków w Grecji była najwyższa w świecie. Strajkują robotnicy, strajkują również urzędnicy państwowi, pracownicy banków i innych wielkich przedsiębiorstw. Burżuazja grecka i władcy amerykańscy uciekają się dla zwalczania rosnącego oporu ludu do tych samych, wypróbowanych metod, jakie wszędzie stosuje faszyzm: masowe aresztowania i egzekucje, terror. Środki te okazują się tak bardzo

bezskuteczne, że nawet ultrareakcyjny dziennik „Embros" stwierdzał niedawno: „Amerykanie powinni zrozumieć, jak bardzo poważne jest zagadnienie głodu. Pustych żołądków nie można w nieskończoność zapełniać obietnicami — któregoś dnia odmówią posłuchu".

Wszystkie te zjawiska widzimy odtworzone w rysunkach Hogartha. Oglądamy widoki wspaniałych kawiarni — miejsc spotkań Amerykanów i nielicznych Greków zarabiających na okupacji. Widzimy twarze prokuratora i generałów, znanych faszystów, tworzących trybunał, który wymierza okrutne wyroki patriotom greckim. Żona bezrobotnego sprzedaje zapałki na ulicy, setki ludzi wybierają ze ścieków w pobliżu bazarów żywnościowych odpadki mięsa i zgniłych owoców; bose dzieci czyszczą buty przechodniów, których stać na obuwie; oto typowe obrazki ateńskie.

Na plan pierwszy wysuwają się jednak podobizny przywódców walczącego ludu. Głęboka wiara w

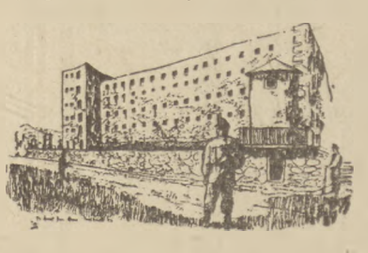

przyszłość, jaką tchną ich twarze, jest zarazem niezłomną wiarą całego narodu Grecji.

George Bidwell

*) „Walczący naród" — „Defiant People" Lawrence and Wishart, London 1953.

ALBERT ROLLAND

„POMYŁKA" KRÓLA SOBIESKIEGO

Człowiekowi, który odwiedza dziś Turcję, na długo pozostają w pamięci sceny okropnej nędzy. Kraj ten kojarzy się u mnie z widokiem ludzi obdartych, odzianych w gałgany. We wsiach prowincji Anatolii widziałem chłopów chodzących boso po śniegu. Inni dreptali w samych kaloszach bez trzewików i skarpetek lub mieli nogi owinięte w szmaty. Jednocześnie po ulicach Ankary, Istambułu i Smirny paradują ubrani z krzyczącą elegancją członkowie klas posiadających.

Gdy doradcy z USA przejęli kontrolę nad gospodarką i polityką Turcji, miejscowa reakcja zapewniała, że wujaszkowie zza oceanu zamierzają wydźwignąć kraj z zacofania i zapewnić ludności dobrobyt. Stało się jednak inaczej. Ani jeden cent z dolarowych pożyczek nie poszedł na potrzeby zbiedzonych mas ludowych, przeciwnie, zależność od Wall Street spotęgowała jeszcze niedolę ludzi pracy.

Na rozkaz amerykańskich „opiekunów" Turcja utrzymuje milionową armię na 20 milionów mieszkańców. Z polecenia Waszyngtonu 80% budżetu tureckiego idzie na zbrojenia, a na oświatę i ochronę zdrowia mniej niż 10 proc. Amerykańscy „przyjaciele" doprowadzili do ruiny rodzimy przemysł. Tytoń z Wirginii wyparł prawie całkowicie z rynków światowych znany w swoim czasie tytoń turecki. Deficyt tureckiego handlu zagranicznego wyniósł w 1952 r. około 600 milionów lirów. Rozwija się tylko wydobycie surowców strategicznych: chromu, miedzi i nafty, które się wywozi za pół darmo do USA.

Na przestrzeni ostatnich kilku lat zamknięto w Turcji 412 większych zakładów pracy. Wiele innych pracuje tylko przez parę dni w tygodniu. 60% robotników to całkowicie lub częściowo bezrobotni.

Prasa turecka uznaje, że 450 lirów miesięcznie, to minimum niezbędne dla utrzymania rodziny. Ale płaca większości zatrudnionych robotników waha się między 40 a 100 lirami, a przeciętny dochód rodziny chłopskiej wynosi według oficjalnych danych zaledwie 400—500 lirów rocznie. W kraju tym znajduje się 16,5 miliona analfabetów, co rok umiera tam 400 tysięcy niemowląt, a na gruźlicę choruje aż 75% robotników.

Na wsi 12 milionów bezrolnych i małorolnych chłopów prowadzi głodowy żywot. Podstawą ich pożywienia jest suchy chleb i rodzaj buraka pastewnego, zwanego „turb". Większość chłopów uprawia ziemię przy pomocy drewnianych pługów. Turecka gazeta „Jagmur we toprak" pisała niedawno:

„We wsiach czterokołowa furmanka jest prawie szczytem cywilizacji. Ludność leczy jaglicę zapuszczając w oczy atrament. Chłop jest wiekowym niewolnikiem obszarnika. Znajduje się on wraz ze swą córką lub młodą żoną w zupełnym rozporządzeniu dziedzica".

W Turcji szaleje okrutna dyktatura faszystowska. Obywatele kraju pozbawieni są najelementarniejszych praw. Pod opiekuńczym okiem przedstawicieli „demokracji" dolarowej zaostrzyła się jeszcze nieokiełznana samowola organów policyjnych.

Turcja ma obecnie 500 więzień. Jest to widocznie za mało, ponieważ, jak podaje gazeta „Zafer", w 1951 r. zamieniono na więzienia 95 dużych baraków, 15 magazynów, 13 kościołów i 20 szkół. W ciągu ostatnich dwóch lat 13 tysięcy patriotów zostało skazanych na długoletnie więzienie za swe wystąpienia przeciw dyktaturze faszystowskiej. Wielu działaczy postępowych policja zamęczyła w śledztwie lub w więzieniu. W zeszłym roku szereg osób został skazany na 15 lat więzienia za szerzenie idei pokoju.

Żałosny zaiste jest los tureckich robotników i chłopów, wyzyskiwanych i uciskanych zarówno przez rodzimych kapitalistów i obszarników jak i przez imperialistów zza oceanu. Dla ogłupienia tych nieszczęsnych ludzi i oderwania ich od walki o poprawę bytu reakcja wmawia im, że są narodem „panów", który jest rzekomo powołany do panowania nad światem...

Niektórzy ogłupieni drobnomieszczanie biorą na serio te szowinistyczne bzdury. Podczas mego pobytu w Turcji miejscowi faszyści dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, usiłowali dowieść mi, jak piękne byłoby życie w tym świecie, gdyby król Sobieski nie przeszkodził swego czasu Turkom opanować Europy...

Ale ani terror policyjny, ani czad nacjonalizmu nie są już w stanie utrzymać w ryzach gnębionych mas ludowych tego kraju. Mimo zakazów w ostatnim czasie doszło do wielu masowych strajków. Robotnicy domagają się podwyższenia głodowych płac o 50 do 100 procent, ośmiogodzinnego dnia pracy oraz obniżenia podatków. W Smyrnie bojowy strajk robotników przemysłu włókienniczego doprowadził do krwawych starć z policją.

Rozwija się też walka chłopów o ziemię. Chłopi zajmują i uprawiają ziemię obszarników stawiając zbrojny opór żandarmom, którzy próbują wyrugować ich z tych gruntów. Mnożą się wypadki podpalania dworów obszarniczych. W pierwszych 6 miesiącach 1949 r. zanotowano 323 wypadki zbrojnych starć chłopów z wojskiem, żandarmerią i policją. Niektóre powiaty są prawie całkowicie opanowane przez uzbrojonych chłopów.

Od około półtora roku wrze w Turcji walka przeciw wysyłaniu wojsk do Korei. W przeszłym roku dokerzy Istambułu i Aleksandretty przeprowadzili strajki i odmówili obsługiwania okrętów z wojskiem i z bronią amerykańską, które miały udać się do Korei. Walka ta ogarnęła też wojsko. Wzrasta ilość dezerterów. W ciągu ubiegłego roku władze musiały przeprowadzić aż 3 czystki wśród oficerów. Jednocześnie zaaresztowano setki żołnierzy odmawiających wyjazdu do Korei.

Walką przeciwko obecnym rządom tureckim dowodzi działająca w głębokim podziemiu Komunistyczna Partia Turcji. Mobilizuje ona masy do boju przeciwko niewoli amerykańskiej, o suwerenność narodową, o demokrację i pokój.

*

Faszystowska Turcja stanowi jeden z głównych satelitów kapitału finansowego USA. Jest to jedno z tych państw, które demagodzy z „Głosu Ameryki" i innych wrogich rozgłośni zaliczają do tak zwanego „wolnego świata" i stawiają jako wzór innym narodom.

Należy przyznać, że Turcja może istotnie służyć jako wzór. Jako wzór tego, jaki los spotkał narody, które dały się wciągnąć w orbitę niewoli amerykańskiej.

Albert Rolland

ZŁATUSZA

(Dokończenie ze str. 2)

szyła kożuch dziadka Stojna, rzuciła garść prosa kurczętom i znowu wzięła gąsiorek.

— A no, teraz dla chłopców! Oni też ludzie!

Chłopcy, którzy zwozili ziemię i zasypywali przepaść, powitali babkę Złatuszę gromkim „hurra!"

I tak mijał dzień za dniem. Do końca robót nad Diabelską Przełęczą babka Złatusza nie pozostawiła pracujących bez wody. Przed południem nosiła wodę dziewczętom, a po południu chłopcom.

Przyszła jesień. Młodzi ułożyli szyny na olbrzymim nasypie, pierwszy pociąg przejechał przez wiadukt nad Diabelską Przełęczą i dudniąc głośno zniknął w tunelu. Była wielka uroczystość. Na polance przed stacją siedem baranów piekło się na rożnach. Komendant brygad, które budowały linię kolejową, przemówił do zebranych. Ludzie słuchali go z rozdziawionymi gębami. W końcu powiedział:

— Młodzi budowniczowie naszej republiki, bracia Bułgarzy! Gdy w piątym wieku po narodzeniu Chrystusa ukończono budowę Aja-Sofii w Konstantynopolu, na jednym z kamieni węgielnych u wejścia wyryto napis: „Świątynia ta została wzniesiona przez cesarza Justyniana". W dniu jej poświęcenia urzędnicy cesarscy ze zgrozą zauważyli na tym samym kamieniu jeszcze jeden napis: „Świątynia została wzniesiona przez wdowę Eufrazję". Cesarz rozkazał natychmiast odszukać wdowę i zapytać o jej udział w budowie. „Wcale nie brałam udziału. Tylko wodę dawałam spragnionym wołom. Codziennie przejeżdżały koło mego domu wozy z kamieniami na budowę. Wynosiłam wiadra pełne wody i poiłam zwierzęta". Długo głowiliśmy się nad nazwą nowej stacji. Ocenialiśmy zasługi każdego z was i wreszcie postanowiliśmy tę piękną stację wzniesioną z żółtego kamienia błogosławionym trudem naszego ludu nazwać imieniem staruszki, która przez całe lato dźwigała w gąsiorku wodę ze studni krzemionkowskiej do Diabelskiej Przełęczy. „Złatusza" — taką nazwę będzie nosić nasza stacja. Niech żyje babcia Złatusza!

Babka Złatusza rozrzewniła się. Nogi się pod nią ugięły

— Czyście poszaleli... dzieci? — rzekła, przysiadła na kamieniu i zapłakała ze wzruszenia.

Angel Karalijczew

LUDOMIR DMYTERKO

ZOSIA

Panna Zosia... To imię znajome...
Poloneza wiodła na balach;
nad ranem wracała do domu
w aksamitach, jedwabiach i szalach.

W takie to noce rówieśnice Zosi
w chatach snem martwym spały umęczone;
w poranki chłodne i mokre od rosy
świstem bata budził je ekonom.

I za odrobek albo nędzną płacę
szła inna Zosia boso o świtaniu
harować do folwarku o głodzie do nocy.
— Jaśnie panienko, przyniosłam śniadanie...

Spotkałem kiedyś w czas ranny na moście
nie tę ze dworu i nie tę z folwarku,
lecz inną Zosię: jaśniała radością,
śląc światu uśmiech w najmilszym podarku.

Dokąd tak śpieszy z torbą na ramieniu
dumna z swej nowej, kwiecistej sukienki?
Przecież los Zosiom we wsi się odmienił,
nie ma we dworze już jaśnie panienki.

— Jak ci na imię? — zatrzymuję małą,
— Zosiu, chodź szybko! — ktoś nagle zawołał.
Jej koleżanka.
— Dokąd? Co się stało?
— Do dworu.
— Po co?
— Bo w dworze jest szkoła.

Przełożył z ukraińskiego St. Edward Bury

MICHAŁ BAŁUCKI

„TYGODNIK KRAKOWSKI"

(Fragmenty z felietonów Bałuckiego z r. 1869)

NAJTŁUSTSZE ZWIERZTA

OTO jeden uczony graf w studiach swoich nad zwierzętami dziwi się dlaczego chłop polski nigdy upaść się nie może. Nie wchodząc w powody, dla których hrabia chciałby mieć wypasionych chłopów i nie mając pewności czy i jak długo ten hrabia zajmował się karmieniem chłopów, przytaczamy własne jego słowa, którymi motywuje swój podziw: „Myśl go (t. j. chłopa) nie męczy, nie trawi. Gdy nie je, nie pije, lub nie pracuje zasypia zaraz, zbyteczna praca z pewnością go nie niszczy, namiętności nim nie miotają(!), miłość i straty do szaleństwa nie prowadzą(!!!), uczucia nadziemskie go nie szarpią(!!!!) a chciwość nie minuje, nie trawi, a przecież podpaść się nie może".

Oto są słowa, które znalazły miejsce w jednym z poważniejszych pism krajowych.

Nie mamy wcale za złe p. hrabiemu, że nie zna ludu, który tyle lat na niego pracował (nie on pierwszy i nie ostatni), że się woli zajmować zwierzętami, boć i to bliźni nasi według teorii Darwina; ale nas dziwi, że przyznając sobie i zwierzętom uczucia i namiętności odmawia ich chłopom naszym. Gdyby p. hrabiemu los był pozwolił urodzić się sędzią, a przynajmniej aktuariuszem i być świadkiem tego niezliczonego szeregu procesów chłopskich, w których wchodzą w grę te wszystkie uczucia, od jakich pan hrabia odsądza chłopa polskiego, byłby może nie strzelił takiego nieuczciwego bąka. Że są ludzie, którzy nie myślą, nie czują, nie pracują, jeno kołysząc się na miękkich fotelach i na resorach karet jedzą i piją, w to wierzę, ale żeby ta ułomność wspólna była całej kaście, całej klasie — w to panu hrabiemu katechizm wierzyć nie dozwala. Gdyby zamiast tych licznych pytań, drukowanych w „Przeglądzie polskim", p. hrabia był zapytał ekonomów swego papy, a nawet swego ekonoma (myślę tu ogólnikowo), oni by może mu wytłumaczyć umieli, dlaczego chłop polski dotąd się nie podpasł, podczas gdy inni bliźni pana hrabiego z najtłustszymi zwierzętami (mówię tu ogólnikowo) o pierwszeństwo ubiegać się mogą." (nr 63 z 19.V.1869 roku).

NA WYSTAWIE ROLNICZEJ

PRZY koniach zastałem kilkunastu młodych ludzi, ze szkiełkami na nosie, z minami, które mogły służyć za podwalinę światu ciemu, z rękami utopionymi w kieszeniach pantalonów, oglądających konie.

— Czy to komisja znawców rozdająca nagrody? — spytałem obok stojącego.

— Nie panie, to dopiero kandydaci na przyszłych znawców, którzy miny swoje modelują podług wzorów, jakich im nastręczają doskonałe figury.

Chciałem już opuścić tę stronę i przejść do poczciwych baranów pobekujących żałośnie gdy jakiś młody człowiek gromkim głosem zawołał na ranny od krów, zostające jak się zdaje pod jego rozkazami:

— Pan minister idzie, bydło niech wstuje!

Miałem w tej chwili ochotę usiąść na ziemi, dla utrzymania honoru mego człowieczeństwa.

W podcieniach tymczasem powstał ruch i hałas. Groźbą, batem lub jedzeniem starano się skłonić ród czworonożny do oddania winnego hołdu ministrowi przez powstanie. Ale bydło zawsze bydłem. Pan minister ogląda, chwali, a żeby też jedna krowa frontem się sprezentowała, pokłoniła się jako tako... Co by to niejeden ze świty galopującej za panem ministrem dał za to, żeby tak mógł zwrócić jego uwagę na siebie, jak nie przymierzając grodkowickie krowy; ileż tam było usiłowań, aby stanąć jak najbliżej tego wielkiego ołtarza, otrzeć się o niego, a choćby nawet być nadeptanym przez niego. Te usiłowania były dla mnie jednym dowodem więcej różnicy ludzi od zwierząt...

Wchodząc na wystawę widziałem przed bramą mnóstwo powozów ubranych w herby, lokajów — a bardzo mało bryczek wiejskich i brak zupełny wozów chłopskich.

Wystawa więc rolnicza dla jeżdżących powozami i patrzących na świat przez lornetki jest rodzajem szkoły, w której dowiadują się, że za granicami ich salonów są także gęsi, krowy i inne zwierzęta, że są różne maszyny, którymi myślący ludzie zastąpili niemyślących, że kurczęta nie rodzą się upieczone z wątróbką pod skrzydełkiem..." (nr. 79 z 8.VI.1869 roku).

GULDENY WYBIERAJĄ...

NIE jestem ja chwała Bogu radcą miejskim, nie jestem nawet wyborcą, bo jako kronikarz do inteligencji nie należę, ani tyle nie zarabiam, żebym miał 6 reńskich płacić podatku, od czego resztą chowaj mnie Panie Boże. Nie znam się więc na tak uczonych kwestiach, ale to wiem, że jeżeli ja mam sto tysięcy, a mój sąsiad tylko dziesięć, to ja mogę obierać dziesięć razy tyle radców co on. Bo dziś nie idzie o reprezentowanie ludzi, tylko guldenów, nie ludzie więc, ale guldeny wybierać powinny. Inaczej wszystko wywrócić się musi, bo guldeny zamilkną a ludzie gadać zaczną, co się ani z rozsądkiem ani z prawną równością nie zgadza (nr 53 z 4.V.1869 roku).

KSIĄŻKI LUDOWE?

DOTĄD karmiono lud nudnymi, moralnymi naukami i żywotami świętych. A wszakżeż tego pokarmu miał on zawsze pod dostatkiem, z ambony, przy konfesjonałach, na odpustach, w domu nawet podczas kolędy ma sposobność dosyć nasłuchać się nauk moralnych i żywotów świętych. Obciążanie więc tym książek ludowych jest straconą pracą, jest dolewaniem wody do rzeki; tu trzeba rozszerzyć dziedzinę wiedzy, jak to czynią zagraniczne wydawnictwa ludowe. Weźmy np. kalendarz Auerbacha. Nie ma tam żywotów świętych i królów, ale są wiadomości o bankach, o spółkach, stowarzyszeniach, o rolnictwie, wynalazkach. Ten to bezbożny postęp, skazany tylokrotnie przez ultramontanów na potępienie i ogień piekielny więcej jakoś zrobił pod względem oświaty ludu niż patriarchalna opieka duchowieństwa i pałaców". (nr 7 z 9.III.1869 roku)).

„STRZYŻENIE OWIEC"

AMBONA jest dotychczas miejscem, skąd można rzucać bezpiecznie gromy na wszelką umiejętność świecką, na wszelką naukę wykraczającą za granice świętej teologii. Wracam właśnie z takiego kazania, mianego z okazji wyświęcenia jednego z ojców reformatów. Co ja się tam nasłuchałem, miły Boże!

Takich kaznodziei nam więcej a opustoszeją i w gruz się rozsypią te zbrodnicze przybytki niemoralności, przewrotności, herezji, zwane szkołami. Gdyby świat wcześniej był się w tym grzechu opamiętał nie mielibyśmy owych telegrafów, kolei (których szanowny kaznodzieja przez wstręt do wynalazków świeckich pewnie nie używa), ani machin, ani innych tym podobnych świeckich wymysłów, tylko byłaby jedna owczarnia — pełna strzyżonych owiec". (nr 203 z 3.XI.1869 roku).

Michał Bałucki

Osiągnięcia — a trudności, a walka?

Do Kierownika świetlicy w PGR Machnów, Kazimierza Krymera

Drogi Kolego!

Zdziwicie się pewnie, że do Was piszę. Wy mnie prawdopodobnie zupełnie nie znacie, ja zaś widziałem Was tylko jeden raz w życiu. Było to niedawno temu na Naradzie Kierowników Przodujących Świetlic Wiejskich, kiedy dzieliliście się z trybuny zjazdowej swymi doświadczeniami. Przypomnijcie sobie: mówiliście wtedy o Waszym zespole PGR Machnów, o tej, jak go określiliście, „jednej z największych fabryk chleba w Polsce". Powiedzieliście o szeroko zastosowanej mechanizacji, wspomnieliście nawet o samolotach, które zastosowaliście do sztucznych zasiewów. Powiedzieliście dalej, że to są rzeczy, za którymi praca kulturalna musi nadążyć, bo „naszym zadaniem jest wychować ludzi we właściwym stosunku do pracy, mobilizować ich, żeby wykonywali plany produkcyjne". A potem przedstawiliście Wasze osiągnięcia w pracy kulturalnej wśród robotników rolnych.

A więc: radiowęzeł, oparty na szerokiej korespondencji z gospodarstw, za pomocą którego zlikwidowaliście chuligaństwo młodzieży. A więc biuletyny popularyzujące dobrą robotę i piętnujące bumelantów. A więc świetlica, wybudowana z inicjatywy traktorzystów — świetlica mogła zmieścić 400 osób, a stale tak pełna, że „starsi młodzieżowców wypychają". A więc chóry, orkiestra, szeroko rozwinięte czytelnictwo gazet i książek, gry towarzyskie i szereg jeszcze innych zajęć kulturalnych, dla których „tydzień jest za krótki".

Ciekawe to było przemówienie: zadziwiło rozmachem prac, jakie przeprowadzacie. Jedno tylko wtedy mnie uderzyło, że nie czuło się u Was trudności że wszystko szło gładko, bez napięć i walki.

Przypomnijcie sobie dobrze: mówiliście to dn. 28 maja. I oto tego samego dnia w nr. 126 „Sztandaru Ludu" ukazał się duży artykuł „Zlikwidować błędy w PGR Machnów". W dzień później, 29 maja, drugi artykuł — skierowany do zespołowej organizacji partyjnej.

Czy czytaliście te artykuły, kolego Krymer? W nich obraz Machnowa ukazuje się w innym, niż w Waszym przemówieniu, świetle.

„Marnotrawstwo i niedbalstwo — czytamy w jednym z artykułów — w żadnym chyba PGR nie występuje z taką jaskrawością, jak w Machnowie".

Fakty:

Zespół posiada 2000 ha łąk, ale brakuje paszy dla bydła. Słomę — już od 5 maja — musi zespół sprowadzać z odległego o 25 km. PGR Krzywice. Tymczasem w Machnowie... setki q słomy, po wymłóceniu ziarna nie zostało uprzątniętych i zgniło. Jeszcze kilka tygodni temu wiele stert słomy zostało spalone, nie wiadomo z czyjego polecenia. Wykopków marchwi dokonano dopiero w maju — oczywiście z olbrzymimi stratami. Traktorzyści, ci sami, którzy tak chętnie przesiadują w świetlicy, pozwalają sobie na jazdy traktorami dla przyjemności, lub co gorsza, do odległego o 30 km. Tomaszowa po wódkę!

I co wy na to, kol. Krymer? Dlaczego te sprawy pominęliście w swoim przemówieniu? Czyżby nie wiązały się one z Waszą robotą kulturalną, która, jak sami mówicie, ma „wychowywać i mobilizować ludzi"? Czy, powiedzmy jeszcze więcej, stosunek do tych spraw nie decyduje o ocenie skuteczności tej pracy?

Nie mówię kol. Krymer, że nie macie osiągnięć: wierzę, że rozruszaliście życie kulturalne w Zespole, że stworzyliście aktyw świetlicowy, że wprowadziliście szereg ciekawych, pożytecznych form pracy. Ale wszystkie te osiągnięcia — wszak tak sami stawialiście sprawę, — pozostaną jedynie formalne i powierzchowne, pozbawione politycznego celu i treści, o ile nie zostaną wprzągnięte w służbę głównego zadania, jakie stoi każdorazowo przed macierzystym zespołem.

Dzisiaj to główne zadanie dla PGR Machnów brzmi: za wszelką cenę zlikwidować marnotrawstwo mienia publicznego. Na to zadanie powinna być dzisiaj nakierowana i Wasza praca kulturalna — ono decydować powinno o treści tej pracy, do niego trzeba było przystosować metody tej pracy. Jak to zadanie wykonujecie —o tym powinniście, kolego Krymer, opowiedzieć przede wszystkim na Krajowej Naradzie: jak wykorzystujecie w tym celu biuletyn i radiowęzeł, chóry i pogadanki i wszystkie te możliwości, które stwarza codzienna masowa frekwencja w świetlicy. Powinniście byli opowiedzieć o Waszych trudnościach i Waszej walce, trudno bowiem uwierzyć, że nie bierzecie w niej udziału; powinniście byli pokazać żywych ludzi — tych, których wychowujecie i tych, którzy w tej pracy Wam pomagają. Wtedy dopiero mogli byśmy powiedzieć, że praca Wasza jest nie tylko formalna, że służy ona umocnieniu gospodarki socjalistycznej, posiada głębokie znaczenie polityczne i wychowawcze.

Trudno, Kolego Krymer, wytłumaczyć Wasze milczenie o tych sprawach — najistotniejszych i decydujących w Waszej robocie: Czyżbyście nie dostrzegli zadania, czy też woleliście może przemilczeć trudności i ciężkie zmagania, aby nie mącić gładkiego, samochwalczego obrazu Waszych „osiągnięć"? Apelujemy — wyjaśnijcie, jak się rzecz ma w istocie i wyciągnijcie potrzebne wnioski.

Jan Danecki

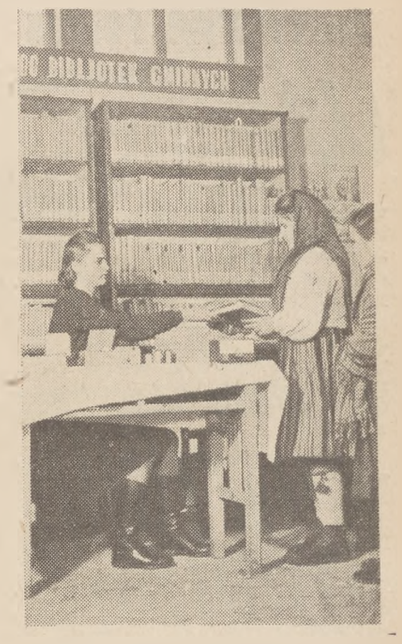

CZESŁAW MICHNIAK

MASŁÓW W POWIECIE KIELCE

(czyli 1 × 262)

Dąbrowa pod Kielcami. Przez uchylone okno przedostawało się do pokoju gorące tchnienie majowego dnia.

— Piszcie punktami — zaczął tow. Detka, sekretarz Prezydium GRN. Punktów było — trzy.

— Chwileczkę, naprzód tytuł: Plan pracy Gminnej Rady Czytelnictwa i Książki.

Dyktował, ja notowałem:

— **Punkt pierwszy:** rozprowadzić w gminie książki za 2 tysiące złotych.

— Zrealizowano — rzekł, prostując się z zadowoleniem.

— **Punkt drugi:** w gromadach odbędą się pogadanki okolicznościowe dla młodzieży i starszego społeczeństwa.

— Jesteśmy w trakcie — powiedział miękko.

— **Punkt trzeci:** gromady przystąpią do współzawodnictwa w zakresie zwiększenia czytelnictwa zarówno książek fachowych jak i literatury pięknej.

— Może by tak odwiedzić którąś z gromad — zaproponowałem.

—Masłów — podpowiedział tow. Dętka. — Przodujący u was w dostawach na rzecz państwa...

— Masłów — powtórzył ze słonecznym uśmiechem. — Biblioteka, chór, wzorowa szkoła podstawowa, LZS...

— Palców wam braknie — żartowałem,

*

Poszedłem do Masłowa. Z Dąbrowy niedaleko — 4 kilometry. Wieś przylgnęła do stóp kamienistego wzgórza, z którego na północy widać ciemną plamę lasów świętokrzyskich, z drugiej zaś strony dymiące czubki kominów i wieże Kielc, a daleko za nimi, na horyzoncie, poszczerbioną sylwetkę piastowskich Chęcin. Widok wspaniały.

Gromadzkim pełnomocnikiem Rady Czytelnictwa jest Józef Pabis.

Byłem w bibliotece, mieszczącej się w nowym nie otynkowanym jeszcze budynku 7-latki. Abonentów jest 171.

Czytają (rozpocznę od najmłodszych) rzecz jasna dzieci. Młodzież szkolna. Ale nie tylko czytają, również **rozpowszechniają** książki. Ostatnio rozprowadziły we wsi kilkaset broszur rolniczych. Cały „nakład" poszedł w kilka godzin.

Książką interesuje się również starsza młodzież, mam tu na myśli chłopców, zrzeszonych w Ludowym Zespole Sportowym. Siatkarze, piłkarze, lekkoatleci na jednym z zebrań podjęli ważną uchwałę: Zbieramy się raz w tygodniu i czytamy „Chleb" Tołstoja. Potem przyjdzie kolej na „Pamiątkę z Celulozy". **W ten sposób w zespole powstała czwarta sekcja — miłośników dobrej książki.**

Nasi młodzieńcy z LZS nie tylko czytają, **ale prawie wszyscy śpiewają** w słynnym na cały kraj chórze masłowskim. Występowali już poza Kielcami w wielu miastach a także w Warszawie.

Jedna z seniorek chóru a zarazem najwybitniejsza jego solistka, Aniela Skowronowa, chwali sobie Orzeszkową a Józef Michta z przezwiskiem „Proch" — przekłady radzieckie, zwłaszcza Polewoja. Czyta i najmłodsza, utalentowana śpiewaczka Bronka Michcianka.

A Maria Ksel, która ani nie śpiewa w chórze, ani też nie jest członkiem LZS, bo jej lata na to nie pozwalają, nawet pasąc bydło nie rozstaje się z książką. Złośliwi mówią „zakochana". A ona. „A co, pewnie, w krajanie Żeromskim... „Ciekoty od Masłowa niedaleko, wszystkiego mila".

Czytelnictwo, sport, sztuka podały sobie ręce. A skutek?

Piotr Michta, tata Bronki, odznaczony został Brązowym Krzyżem Zasługi za wzorowe wywiązywanie się z obowiązków wobec państwa.

Michcie nie daje się ubiec prezes LZS, kol. Majcherczyk.

W tym szlachetnym wyścigu pierś w pierś idzie z nim kolega klubowy, Stanisław Ksel, młody gospodarz na 5 ha.

A zakochana Maria Ksel? W „Popiołach" przechowuje kwity za sprzedane państwu zboże i zapłacone podatki.

Ale — w tym miejscu apel pod adresem Kielc — w powiecie 262 gromady!

Czesław Michniak

Gazetka gminna

Naukowe prawdy

Protestujemy stanowczo przeciwko rzekomo naukowemu stwierdzeniu, jakoby pijakowi dwoiło się tylko w oczach. Nic podobnego. Praktyka służbowa Komisji Mieszkaniowej przy GRN w Tyszowcach, pow. Tomaszów Mazowiecki świadczy o czymś innym.

Mieszka w gromadzie Podbór robotnik z cegielni Edward Martyniuk. Jego niezwykłe przygody pozwolą nam wysnuć daleko idące wnioski naukowe. Przygody zaczęły się od tego, że nasza komisja postanowiła go usunąć z zajmowanego mieszkania. Nic to niezwykłego, takie komisje zdarzają się. Mieszkania zastępczego robotnikowi nie przyznano. Stąd też Martyniuk odmówił przyjęcia „urzędowej eksmisji", na skutek czego zjawiła się komisja zaraz na drugi dzień u niego. I takie postępowanie komisji może się przytrafić.

Ale co dalej, to już do niczego nie podobne. Ludomir Kuc, przewodniczący ZMP w grom. Podbór, ujął się za robotnikiem, oświadczając, że nasze prawo nie pozwoli wyrzucać Martyniuka z żoną i dzieckiem do przydrożnego rowu. Dostał za to po buzi od pijanych członków komisji. Fakt ten odróżnia naszych urzędników od szarej masy innych.

No ale dlaczego naszej komisji nie dwoiło się, lecz troiło w oczach? — oto pytanie zasadnicze, na które zamierzamy właśnie odpowiedzieć. Otóż dlatego, że przyznali, wyrzucając Martyniuka, ob. Dudzińskiemu Janowi, komendantowi SP, trzecie mieszkanie. Ma ci on bowiem jedno u swojej żony, drugie u matki a teraz trzecie za wstawiennictwem naszej komisji. Mamy tedy rację, że wyjątkowo tęgim opojom może się nawet i troić przed oczyma świat.

Tak więc poparliśmy nieodpartymi przykładami pewną teoretyczną myśl. Powróćmy jednak corychlej do praktyki, gdyż jeszcze dzień, dwa, a nieszczęsny robotnik zamieszka rzeczywiście w przydrożnym rowie. Mamy taką radę: wylać na głowę komisji tyle wody, ile tylko zmieści się w butelkach po wódce, którą wypili. Następnie wylać, ją wraz z członkami komisji do strugi. Niech spłynie z brudną wodą na znak, że praworządności łamać nie wolno.

Jan Wichura

Zakochała się Rada w Kulturze

Trzeba przyznać, że Gminna Rada Narodowa w Brzeźnicy energicznie się wzięła za kulturę w okresie Dni Kultury, Książki i Prasy.

Dowody tego ożywienia GRN odnaleźliśmy w... dzienniku podawczym a następnie w obszernej tece z odpisami listów. Dla przykładu zacytujemy wyjątki korespondencji w sprawie świetlicy w gromadzie Karczówki.

„...GRN stwierdza z ubolewaniem, że pomimo ogólnej mobilizacji na płaszczyźnie kultury i gminnym szczeblu, świetlica w waszej gromadzie nie żyje życiem jak się należy, za co udzielamy ostrej nagany naszej prawej ręce, to jest sołtysowi".

O ile pierwszy list napisała tylko pomoc biurowa, o tyle w drugim wystąpił sam przewodniczący.

„Co za skandale odgrywają się w Karczówkach? Zapalać w świetlicy świeczki jak za Ćwieczka? W mojej gminie i w Polsce Ludowej? Jakież to świadectwo dla toczącego się wulkanicznie postępu? Przecież dziś obowiązuje władza rad, to znaczy się moja, plus elektryfikikacja, czyli mojego powinowatego z zakładu energetycznego w Nowej Soli".

Pozwalamy sobie zacytować na zakończenie jeszcze jeden fragment korespondencji:

„Odpowiadamy mieszkańcom gromady Karczówki, że troszczymy się o kulturę zgodnie z zaleceniami władz. Kredytów na elektryfikację przydzielić nie możemy, gdyż zainwestowaliśmy je w upodobania estetyczne naszych pracowników. A więc wydatkowano na firanki w ludowe kwiatki z naszych stron (realizacja oddolna postulatu uterenowienia sztuki), wazoniki (takaż sama realizacja na odcinku ceramiki), dywany (pomoc mas dla artystów) i obrazy (popieranie rodzimej sztuki odpustowej). Estetyzujemy się pod hasłem: skoro ludzie muszą u nas godzinami, dniami i miesiącami czekać na załatwienie, niechże wiedzą, że przyszli do dobrze wyposażonej Rady".

Może, ale nie w rozum.

Piotr Pigwa

Zabawna historia

Sam się od śmiechu powstrzymać nie mogę, kiedy przychodzi mi napisać o tym jak to dowcipnie i na wesoło urządziła chłopów z Gromady Borki, pow. Dąbrowa Tarnowska, ich własna obsługa kina wiejskiego. Powiadam wam — cóż to za rozkoszni kawalarze! A kawały? Jeden lepszy od drugiego!

Pomyślcie tylko, — wywieszają afisze, zapowiadają świetny film, a jak ludzie zewsząd pościągają, z całej okolicy, przysyłają telegram takiej treści: „Udała się z kinem bomba, a kto wierzy ten trąba". Ładny dowcip, prawda?

Dla urozmaicenia puszczają film bez jakiejkolwiek zapowiedzi a w sprawozdaniu zamieniają pustą salę na pełną, milczenie na ożywioną dyskusję.

Teraz inny kawał. Puścili film w przyśpieszonym tempie i pokładali się ze śmiechu, kiedy ludziska szaleli za proszkami przeciw bólowi głowy. Zabawność sytuacji polegała na tym, że w pobliżu nie ma apteki.

W tym roku obsługa kina wystąpiła z najlepszym numerem popisowym. Wyłączyła Borki z obsługi filmowej, co jest tym komiczniejsze, że aktyw Borek, Słupca, Maniowa i Woli Szczecińskiej opracował właśnie szczegółowe zapotrzebowanie na filmy oświatowe. Chłopi chcieli zobaczyć nową technikę pracy.

Ale to ci heca, co? No, śmiało — czemu nie ryczycie ze śmiechu? Macie rację. Śmieje się bowiem naprawdę — ostatni. W Borkach na pewno nie będzie to obsługa kinowa.

Borzywój Mieczarz

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 8-00-81 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7.
Tel: Red Nacz 863-86 Tel: Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13.80 zł, półrocznie — 27.60 zł, rocznie — 55.20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-17142